

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 24 (42)

Jerozolima, 16 grudnia 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

EKONOMIA I POLITYKA

I

Napróżno dzisiaj szukać wizji przyszłości w uniwersalistycznym ujęciu. Ludzie po omacku szukają wyjaśnienia nie to przyszłości, ale znaczenia tego, co się przesuwają przed ich zdumionym spojrzeniem. Myśl zaciera swój krag. Brak jej dalszych horyzontów. Programy polityczne państw totalistycznych mają służyć jedynie narodowym interesom, a nawet komunizm, mający swe źródło w myśli zachodnio-europejskiej, stał się filozofią narodową.

To odwrócenie się od uniwersalizmu, groźba podziału świata, dotychczas pod tym względem jednolitego, powoduje szczególnie stan uczuć. Stąd przekonanie, że jesteśmy świadkami upadku jednej cywilizacji, którą ma zastąpić nowa. Jakże charakterystyczne są pseudofilozoficzne wywody Spenglera.

Nastawienie pesymistyczne, rezerwa myślicieli, ekonomistów czy socjologów, odróżnia chwilę dzisiejszą od okresu, który ludzkość już przeżywała półtora wieku temu, gdy dokonywał się przewrót umysłowy w ówczesnej Europie. Wówczas okropna powszechność wojen, zniszczenie, jakie ze sobą przynosiły, rozbicie jednolitości religijnej chrześcijaństwa były źródłem poszukiwań i prób, zmierzających do ustalenia nowych podstaw wspólnoty cywilizacyjnej wszystkich narodów w postanowieniach prawa natury. Dzisiaj zaś badacz i socjolog przekonany jest o swej słabości i o niedoskonałości swego aparatu naukowego dla spojrzenia w przyszłość i wytyczenia jej drogi:

„Nikt, kto zajmuje się zagadnieniem organizacji społecznej, nie może uniknąć problemu sformułowania filozofii społecznej... Ale, jeżeli popatrzymy wstecz w historię, zobaczymy, jak trudno, tkwiąc w jednym okresie historycznym, przewidzieć filozofię społeczną okresu nadchodzącego. Na jakiej podstawie mógł ktokolwiek, żyjący w okresie Imperium Rzymskiego, przepowiedzieć filozofię feudalizmu? Jak mógł choćby najszybszy umysł, żyjący w wiekach średnich, przepowiedzieć system, który będzie gloryfikować kupca, a chciwość ludzką da za podstawę sprawiedliwości i etyki?”

Pesymizm ten wyrósł ze świadomości tego, w jakim wielkim stopniu filozofie, nie mające oparcia w rzeczywistości i sprzeczne z przewidywaniami co do biegu wypadków, służyły za slogan masom i politykom, jak przenoszone w sferę praktycznej polityki są źródłem klęsk i wojen. Pesymizm wywołany jest przez obraz tego, jak idee wolnościowe stworzyły się w niewolnictwo ciała i duszy dopiero co wyzwolonego człowieka; obraz przejścia demokracji bez zmiany zasadniczych założeń w despotyzm, praw naturalnych narodów — w imperializm; zatracenie w toku ostatnich dziesiątków lat wszelkich podstaw, na jakich opierały się stosunki między ludźmi, poza najprymitywniejszymi węzłami, łączącymi jednostki dla dżikielki walki o przeżycie.

Z drugiej strony ten pesymizm, podejrzliwość w stosunku do własnych możliwości przewidywania i rozwiązywania problemów przyszłości jest najlepszą pożywką dla formułowania programu odbudowy stosunków między narodami, klasami społecznymi i ludźmi. Obawy socjologa, dopiero co przytoczone, są nieistotne. Trudno przewidzieć nie filozofię, którą będą żyły społeczeństwa ludzkie, lecz wpływy, jakie one wywrą na ich losy. Nie da się przewidzieć biegu historii politycznej, gospodarczej i kulturalnej, jaką dadzą narodom siły społeczne i wpływ wielkich ludzi. To, co dziś przeżywamy, niewątpliwie rozbicie społeczności międzynarodowej, jest wynikiem nie błędności programu czy filozofii, którą ludzkość żyła. Chwila dzisiejsza jest wynikiem i braku programu, i braku filozofii, i osłabienia sił, które organizowały świat.

II

Krytyka wszelkich kierunków, programów i poglądów naukowych i społecznych idzie utartymi niemal od wieków drogami. Utopia i realizm oto dwa krańce całej skali punktów widzenia, niezmienne często ze sobą sprzecznych, których stosowne szeregowanie może dać podstawę dla takiego czy innego poglądu. Istnieje jednak pewien zasadniczy podział ról. Nie podobna odebrać utopijnemu kierunkowi pierwszeństwa, jeżeli idzie o formułowanie programu na przyszłość. Im większe przecucie zmian, tym bardziej wskazane

oderwanie się od rzeczywistości. Natomiast krytyka przeszłości należy do metody realistycznej. Ona jedynie potrafi podać istotę przeżyć zbiorowych i sprawdzić osiągnięte rezultaty.

Błąd zasadniczy, który realisci popełniają stale, polega na ograniczaniu się do wykazywania, jakie punkty programów nie zostały wykonane, jak dalece rzeczywistość różni się od nakreślonego planu. Taka krytyka jest błędna i niecelowa. Rzeczywistość bowiem nigdy nie jest wyłącznie wynikiem jakiegoś programu. Jest ona rezultatem działania całego szeregu sił, między innymi i świadomej działalności ludzkiej, bardzo często opartej na idealistycznych założeniach. Obraz dzisiejszej Rosji Sowieckiej jest wynikiem nie tylko planu społecznego i gospodarczego wodzów rewolucji i jej realistów, ale i całego szeregu sił, które istnieją od wieków, a które powodują, że rzeczywistość rosyjska jest taka, a nie inna. Innymi słowy: nie ma powodu, aby przeciwstawiać utopię realizmowi. Plan, nawet mocno oparty o istniejącą rzeczywistość, musi zawierać też wizję przyszłości. Plan taki jest zawsze utopią, ponieważ zawsze zajdą okoliczności, które przyniosą inne, nieprzewidziane wyniki.

III

Te rozważania powinny nam ułatwić ocenę minionego okresu i chwili bieżącej. Jednak bowiem z tego, wykreślając różnice między XIX wiekiem a dzisiejszymi czasami, polega na przeciwstawieniu polityki działalności gospodarczej. Powstał pogląd, że skończył się okres gospodarki światowej, w którym prywatna jednostka działała swobodnie, kierowana jedynie egoistycznymi pobudkami. Że skończył się typ *homo economicus*, odrębny od *homo politicus*. Że zagadnienia gospodarcze stały się domeną wpływów państwa, które zaczęło regulować warunki działalności gospodarczej, handel zagraniczny, a nawet poczęło samo trudnić się działalnością ekonomiczną.

W tym rozróżnieniu widzi się nie tylko przyczyny obecnego stanu rzeczy, ale i zarodki nowego okresu historycznego, w którym inne zasady i motywy będą wpływały na kształtowanie się rzeczywistości politycznej i gospodarczej świata. Istotną zatem sprawą jest zbadanie i zrozumienie zakończonego wedle tej teorii okresu historycznego, oddzielenie rzeczywistości od hasła i programów oraz sprawdzenie, o ile to przeciwstawienie polityki i ekonomii jest słuszne; o ile to twierdzenie jest zgodne z prawdą w pierwszej swojej części i o ile może służyć za zdrową podstawę dla przewidywania przyszłości.

IV

Przecucie idących zmian zmuszało umysły XVIII w. do szukania wzorów dla nowej przyszłości w obrazach, nie mających nic wspólnego z tym, co współcześnie istniało. Współczesne urzędzenia społeczne uznano za zasadniczo za niestosowne dla tego, co przyjdzie. Stąd literatura i satyra polityczna XVIII wieku obfituje w specyficzne obrazy nowego świata, które zyskały już dawniej nazwę utopii. Utopie te, jak np. *Guliver* Swifta, były połączeniem realistycznej krytyki współczesności z wizją przyszłości i próbą ustalenia programu dla niej. Wizja ta jednak nie była zawieszona w próżni, gdyż pozostawała w ścisłym związku z próbą zbadania tych urządzeń ludzkich, które zdaniem współczesnych były niesprawiedliwe i niesłuszne.

Utopią też jest dzieło, które skierowało, mimo wielu jeszcze średniowiecznych naleciałości, myślenie gospodarcze na nowoczesne drogi. *Bogactwo narodów* Adama Smitha ma te same cechy i zadania, co przytoczone już *Podróże Guliwera*, czy dzieło Russa lub Monteskiusza. Tak samo jak oni, szukał Smith dla działalności gospodarczej ludzi rozwiązania, zgodnego z prawami naturalnymi. Za podstawę swych rozważań wziął prawa naturalne człowieka, jego wolność, równość. W działalności gospodarczej próbował zachować wynikający z tych założeń stosunek człowieka do państwa. Tworząc swój utopijny program na przyszłość, oparł się na pozytywnych danych. Przyjął bowiem takie społeczeństwo, jakie współcześnie istniało, i takie tendencje, jakie je wówczas ożywiały. Społeczeństwo składało się z małych kupców i fabrykantów, którzy

interesowali się wzrostem produkcji i handlu. Dzięki temu, że warsztaty pracy były niewielkie, a kapitał w nich uwięziony w zasadzie także nieduży, łatwo przyjmowało ono wszelkie zmiany w warunkach produkcji. Nie było sprzeczności interesów między pracodawcą a pracownikami, ponieważ robotników, w ścisłym tego słowa znaczeniu, było niewielu.

Ta jednorodność społeczeństwa wpłynęła na zasadnicze założenia nowego porządku, planowanego przez współczesnych filozofów i polityków. Dadaż się one ująć w doktrynę, opartą na teorii praw naturalnych, harmonii interesów. Wszystkie utopie malują społeczeństwa, w których nie ma sprzeczności interesów. Wszelkie konflikty z istniejącym porządkiem społecznym, opartym na prawach naturalnych, stanowiących najwyższą mądrość, wynikają stąd, że jednostka czy grupa nie rozumie swego interesu. Przemówienie do rozsądku, który jest najwyższym prawem, zawsze wystarczy, by zakłóconą harmonię przywrócić. Jak bieg innych spraw ludzkich, tak samo i bieg spraw gospodarczych trzeba pozostawić naturze, która z nieomylną sprawiedliwością wprowadzi najpewniejszy ład i porządek.

I tak samo jak i inni, Smith w tej części swego dzieła, gdzie jest utopistą, uważa za potrzebne zastrzec się. Nie wierzy w możliwość pełnej realizacji swego programu. Kompletny system wolnego handlu w stosunkach międzynarodowych jest, wedle jego własnego określenia, tak samo niemożliwy do zrealizowania, jak „Oceana lub Utopia”.

V

Okres, który nastąpił bezpośrednio niemal po ogłoszeniu poglądów Adama Smitha, charakteryzuje realizacja w dużym stopniu doktryny liberalizmu gospodarczego ze wszystkimi jej konsekwencjami. Ale jednocześnie nie zachowało się ani jedno z osiemnastowiecznych założeń z zakresu ustroju społecznego, czy obowiązujących pod koniec XVIII wieku metod produkcji. Tak samo upadły wszystkie założenia teoretyczne tych poglądów, ujęte w formę harmonii interesów, czy rządu zjawisk gospodarczych przez prawa natury.

Wskutek koncentracji kapitału pojawiają się ogromne organizacje przemysłowe i rodzi się konflikt między kapitałem a pracą. A międzynarodowy system gospodarczy, polegający na liberalizmie ekonomicznym i na wolnym handlu międzynarodowym, oparł się na układzie politycznym, który zapanował na świecie i umożliwił rozwój przemysłu i handlu, a przede wszystkim powstanie międzynarodowego rynku pieniężnego w Londynie.

Zwłaszcza problem powiązań między układem politycznym a życiem gospodarczym świata XIX w. jest istotny dla oceny realizmu programu Adama Smitha, który wykluczył wpływ czynników politycznych na życie gospodarcze. Ten problem stanowił o wartości tezy o rządzie praw naturalnych, która jest podstawą jego systemu.

W ciągu XVIII i XIX w. Anglia stała się pierwszym mocarstwem świata. Te same siły, które dały jej zwycięstwo nad Hiszpanią, pchnęły ją do przewodnictwa światowego. Historyk angielski, mówiąc o czasach Elżbiety, twierdzi, że:

„Źródłem siły Anglii w owym czasie była głównie gietkość jej podłoża społeczne, zdolność przystosowania się, nowoczesność państwa angielskiego”.

Te same przyczyny spowodowały, że klasa, będąca wyrazem nowoczesności Anglii, wzrastała na znaczeniu. Polityczne znaczenie finansjery, przemysłowców, kupców i organizatorów komunikacji zamorskiej w Anglii wzrosło do tego stopnia, że już z początkiem XIX w. zniweczyły wpływy klasy właścicieli ziemskich. Gdy więc wskutek wynalazków wzrosło znaczenie wielkich zakładów przemysłowych oraz komunikacji morskiej i handlu międzynarodowego, społeczeństwo i państwo angielskie były najlepiej przygotowane do zajęcia pierwszego miejsca w skali światowej, a przez to mogły dyktować warunki organizacji gospodarczej świata.

Anglia poza tym potrafiła stworzyć specyficzny układ polityczny w świecie. Przewaga Anglii na morzach uniemożliwiała rozporze-

W numerze:

B. Łączkowski: O Wielki Rapperswil. — T. Terlecki: Szkolnictwo teatralne w Polsce. — Porucznik Herbert: General Ta-deusz Bór-Komorowski. — Echa artykułów „W Drodze”. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych. Część I. — M. Pruszyński: Jastrzębie niemieckich nocy. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — Z głosów angielskich o Polsce. — cep.: Perspektywy nowego świata. — ww.: O nauce polskiej dla Anglików. — Kronika polska. — J. Martyka: Kronika filmowa. — sw.: Z prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny.

strzenianie się wojen europejskich poza kontynent. System ten wzmacniała Anglia polityką sojuszków. Takim sojuszem była w rzeczywistości doktryna Monroe, która zapewniała pokój na Atlantyku, a częściowo i na oceanie Spokojnym. Na Dalekim Wschodzie umiejętne stawianie na budzące się siły wzmacniało stanowisko Wielkiej Brytanii.

Światowe znaczenie układu politycznego, stworzonego przy poparciu Anglii, było tak wielkie, że zasłużył on sobie na nazwę *Pax Britannica*. W podobny sposób zdefiniowano kiedyś cywilizacyjną misję Rzymu. Obok Imperium Brytyjskiego powstało imperium handlu, w którym znalazły się państwa i narody, objęte wpływami politycznymi i gospodarczymi Londynu XIX w. W tym imperium angielskie urzędzenia gospodarcze grały czołową rolę.

VI

Obok konfliktu pracy i kapitału powstały na płaszczyźnie międzynarodowej dwa dalsze konflikty. Jeden z nich, ważniejszy, został spowodowany tym, że inne państwa i narody, wyrosłe z kultury europejskiej, usiłowały rozbudować swój przemysł i wziąć w międzynarodowym handlu udział równie korzystny, jak Anglia. Drugi konflikt, szerszy, choć może mniej wyraźny, polegał na sprzeczności interesów między światem gospodarczym rasy białej, t. j. między uprzemysłowioną Europą i Ameryką Północną, a resztą świata.

System liberalny posiadał odmienne znaczenie w stosunkach wewnętrznych, a odmiennie przedstawiał się w skali międzynarodowej. Można wyobrazić sobie system liberalny w stosunkach wewnętrzno-państwowych jako specyficzny ustrój, który:

„... zakładał istnienie obok siebie dwu niezależnych systemów: politycznego, który był sferą rządową, a który głównie zajmował się utrzymywaniem porządku prawnego... w stosunku do którego obowiązywała zasada znoszenia, jak wobec koniecznego zła, oraz istniejącego obok tego systemu gospodarczego, zastrzeżonego inicjatywie prywatnej, który zaspakał wszelkie potrzeby materialne, a wykonując to zadanie, organizował codzienne życie”.

W stosunkach międzynarodowych cała ta sprawa wyglądała inaczej. Ujmuje się ją porównawczo jako problem roli poszczególnych państw czy narodów w międzynarodowym systemie wymiany gospodarczej, problem centrum rozrządczego tego ogromnego mechanizmu, jakim jest światowe imperium handlu.

Wszelkie kryteria dla oceny tych zjawisk na przestrzeni XIX w., nieodmiennie wskazują na Anglię jako na państwo produkujące. Jakkolwiek istotę liberalizmu międzynarodowego widzi się w międzynarodowej wymianie dóbr, w swobodzie emigracji, w swobodzie organizacji i podnoszenia gospodarczego krajów zacofanych, to jednak zdaniem wnikliwego badacza stosunków XIX w.:

„Istota tego międzynarodowego systemu gospodarczego polegała... na istnieniu międzynarodowego rynku kapitałowego, w którym na skalę międzynarodową dysponowano wolnymi kredytami, organizując nowe inwestycje kapitałowe. Nie wiesznie zmienny charakter handlu międzynarodowego był cechą tego systemu, ale przewodnictwo finansowe, które za nim stało”.

Takim centrum, które wzięło na siebie odpowiedzialność za finansowanie systemu liberalnego, był Londyn. Jeszcze w r. 1913 specjalnie ustanowiona przez rząd brytyjski Komisja Królewska w swym raporcie w sprawie ustroju londyńskiego rynku pieniężnego stwierdzała, że znacznie łatwiej jest uzyskać pożyczki dla inwestycji międzynarodowych, niż dla przemysłu krajowego. Ponadto londyński rynek towarowy działał dzięki niskim taryfom celnym jako międzynarodowy wentyl bezpieczeństwa. Chwilowe, nadwyżki towarowe można było plasować na rynku angielskim. W ten sposób Londyn finansował operacje, zmierzające do usuwania zjawisk, cechujących międzynarodowe kryzysy gospodarcze.

Rola Londynu była tym donioślejsza, że w pewnym zakresie działanie centrum finansowego świata mogło uzupełnić system liberalny w dwu kierunkach. Idzie tu mianowicie o zagadnienia populacyjne, dla których klasycznym rozwiązaniem liberalnym była swoboda emigracji, oraz nowe tereny ekspansji, których wyczerpywanie podobno walcie

przyczyniło się do załamania się systemu jednolitej gospodarki światowej. Oba te zagadnienia można rozwiązać przy pomocy odpowiedniego systemu inwestycji kapitałowych. Emigrację międzynarodową można zastąpić emigracją wewnętrzną, plasując nadwyżkę ludnościową w okręgach przemysłowych i stwarzając przy pomocy rozbudowy przemysłowej nowe warsztaty pracy. W ten sposób rozwiązywała swoje zagadnienia populacyjne Japonia, której ludność na przestrzeni niespełna wieku wzrosła z 16 do 90 milionów. W ten sam sposób rozwiązywały te same problemy inne państwa, a między innymi Stany Zjednoczone, które rozbudowując swój przemysł i powiększając liczbę ludności, stworzyły tę potęgę gospodarczą i polityczną, jaką dzisiaj widzimy w działaniu.

W podobny sposób można zastąpić brak terenów niezagospodarowanych. Jak bowiem wskazuje statystyka handlu międzynarodowego, najcenniejszą i najwyższą jest wymiana między krajami wysoko uprzemysłowionymi. Anglia miała największe obroty z Niemcami i Stanami Zjednoczonymi, Stany Zjednoczone z Anglią i Japonią i t. d. Handel z krajami innymi, także z krajami rolniczymi, nie jest najważniejszą pozycją. Wyjaśnienie tej zagadki polega na tym, że inwencja i wynalazczość, jak i specjalne uzdolnienia ludności poszczególnych krajów sprzyjają specjalizacji przemysłów i produkowanych dóbr, a w konsekwencji rozwojowi współpracy między krajami wielkiego stopnia uprzemysłowienia. Podnoszenie stopnia uprzemysłowienia w różnych krajach sprzyja w zasadzie wymianie. W ten sposób rynek pieniężny znajduje interes w rozwoju nie tylko eksploatacji surowców, ale w rozwoju przemysłów. Ta właściwość gospodarki światowej daje większe możliwości z punktu widzenia rozwoju systemu liberalnego niż wszystkie tereny kolonialne świata.

Dlatego też po pierwszej wojnie światowej sfery gospodarcze Anglii, a po części i Ameryki, wzięły udział w odbudowie przemysłu i pomyślności gospodarczej Niemiec, widząc w tym także odbudowę rynku dla własnych produktów i ożywienie handlu międzynarodowego. To też tłumaczy, dlaczego wbrew wszelkim względom politycznym, mimo że znalazły się środki na inwestycje niemieckie, nie było ich na przykład dla gospodarstwa polskiego, gospodarstwa kraju sprzymierzonego.

Te właściwości strukturalne gospodarstwa europejskiego tłumaczą, dlaczego system liberalny, oparty o przewodnictwo brytyjskie, sprzyjał powstawaniu nowych centrów gospodarczych i politycznych. Teoretycy liberalizmu z sympatią śledzili ruchy narodowe w Europie, a polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii sprzyjała powstawaniu nowych państw w sferze wpływów brytyjskich. Między innymi wyrazem tej polityki była współpraca Anglii ze Stanami Zjednoczonymi na terenie Ameryki Łacińskiej celem utrzymania niezależności nowych państw (doktryna Monroe-Manning). Przewaga brytyjska w zakresie gospodarczym nie zmierzała do ustanowienia monopolu dla przemysłu angielskiego. I konsekwentnie, rozbudowa przemysłów narodowych nie sprzeciwiała się systemowi liberalnemu, pod warunkiem, by nowe przemysły włączały się w system światowy.

W ciągu XIX w. dwa państwa uzyskały pełną dojrzałość gospodarczą. Były to Stany Zjednoczone, oraz Niemcy, które odosobniewszy się kolejno od systemu handlu światowego, powrócili później do niego, przyjąwszy monometalizm i obniżywszy swoje taryfy. W ten sposób rozszerzyły one jedynie podstawy liberalizmu gospodarczego, czyniwszy go swoją polityką. Prawdziwy konflikt, polegający na usiłowaniu wywołania się spod przewodnictwa Londynu i stworzenia własnego systemu, opartego o niezależny od Wielkiej Brytanii ośrodek rozrządzący, narodził się już znacznie później. Już jednak w ciągu w. XIX powstają pierwsze koncepcje oddzielnych systemów gospodarczych (Fichte, Liszt, Bismarck).

VII

Konflikt gospodarczy, dopiero co opisany, doprowadził do rozszerzenia podstawy systemu liberalnego. Ten obrót rzeczy zawdzięcza w. XIX ogólnemu poczuciu bezpieczeństwa. Chociaż rynek pieniężny Londynu pozostał w dalszym ciągu centrum gospodarczym świata, to jednak przedmiot wymiany międzynarodowej stanowią w coraz wyższym procencie towary nie angielskie.

Większy konflikt interesów narastał między krajami uprzemysłowionymi a rolniczymi, względnie kolonialnymi, które nie miały możliwości wkroczenia na drogę rozbudowy ustroju gospodarczego. Wskutek kolonizacji krajów, dotychczas niezagospodarowanych, w których zastosowano nowe metody gospodarowania, zbliżone wielce do organizacji przemysłowej (Kanada, Argentyna, Australia), ceny produktów rolnych zaczęły spadać. Chłopskie społeczeństwa Europy zostały zagrożone i osłabła ich możność współzycia na stopniu mniejszej lub większej równości z Europą uprzemysłowioną.

Ten sam konflikt powtarza się w stosunkach Europy uprzemysłowionej z krajami Dalekiego Wschodu, kultury bizantyjskiej, muzułmańskiej i hinduskiej.

Jeżeli spojrzymy oczyma tych społeczeństw na uprzemysłowiony Zachód, nie ujrzymy problemów społecznych podziału Europy na interesy kapitału i pracy. Z perspektywy Wschodu widać jedynie pochodź prze-

ważającej siły, wyposażonej w najnowsze urządzenia techniczne, łamiącej wszelkie dotychczasowe urządzenia społeczne, narzucającej nie tylko nowe towary, ale nową kulturę. Z punktu widzenia Wschodu istnieje współdziałanie kapitału i pracy celem wyższego ludów innych kultur. Stąd też rodzą się próby odporu przez przyjmowanie metod gospodarczych, stosowanych na Zachodzie.

Te argumenty między innymi przyswiecają przebudowie gospodarczej Rosji Sowieckiej, której hasłem jest doświadczenie i prześcignięcie państw, dotychczas gospodarczo przodujących. Stąd płynnie przyjmowanie na Środkowym Wschodzie urządzeń politycznych Zachodu, budzenie hasła nacjonalistycznych, w naiwnym nieraz przekonaniu, że parlamenty, konstytucje i gabinety sprowadzą pożądane zmiany. Stąd przebudowa gospodarcza Japonii. Stąd uprzemysłowienie Indii, nie zawsze dyktowane interesami Imperium.

Pierwsza wojna światowa ten konflikt przyspiesza.

O ile na Zachodzie można obserwować współdziałanie nowych potęg gospodarczych z Londynem, to na Wschodzie sprawa przedstawia się inaczej. Otwarcie Zachodu dla systemu liberalnego nastąpiło w drodze pokojowej infiltracji kapitałów i idei polityczno-społecznych, dobrowolnie przyjętych przez Europę. Na Wschodzie była to czysta agresja polityczna, narzucenie wpływów, które trzeba było zniszczyć lub usunąć. Zresztą, o ile w Europie stosunki ludnościowe kształtowały się pomyślnie i wraz ze wzrostem ludności szybciej wzrastała stopa życia i zamożność, to na Wschodzie, zwłaszcza w Japonii, sprawa przedstawiała się inaczej. Tam przyrost ludności był znacznie szybszy niż wzrost bogactwa, co stawało ustrój gospodarczy państwa pod wyjątkową presją. Z kolei musiało się to odbić na zagadnieniach polityki międzynarodowej i gospodarczej.

VIII

Od czasów Wilhelma Zdobywcy wyspy angielskie nie widziały najeźdźcy i zaledwie parę razy w tym niezmiernie długim okresie czasu stały wobec poważnej groźby inwazji. Przed dzisiejszą wojną angielska opinia publiczna przypisywała takie możliwości Francji Napoleona. Ale dopiero Niemcy Hitlera mogły poważnie planować takie działania.

Aż do momentu, kiedy zaczęły narastać konflikty, które doprowadziły do wojny 1914-1918, Wielka Brytania prowadziła, względnie usiłowała prowadzić politykę *splendid isolation*, t. j. starała się zachować we wszystkich okolicznościach pełną swobodę działania. Polityka taka doskonale odpowiadała jej interesom. Londyn mógł, trzymając się z dala od wszelkich problemów lokalnych, poświęcić się wyłącznie swemu głównemu zadaniu. Z tą chwilą, gdy w czasie tamtej wojny pojawił się jako teren walk trzeci wymiar, powietrze, polityka *splendid isolation* przestała być polityką, dyktowaną interesami Wielkiej Brytanii.

Tamta też wojna zadała śmiertelny cios przewodnictwu Wielkiej Brytanii w świecie. Centrum rozrządzące Londynu zachowało się i z podziwu godną sprawnością, jak tylko nadarzały się możliwości podjęcia dawnych wysiłków (np. lata 1925-1929), usiłowało wprowadzić jaki taki porządek w stosunki światowe. Ale, niestety, przestało ono być niewyczerpanym źródłem wolnego kredytu. Jednocześnie Europa, obciążona reparacjami, długami wojennymi i reliefowymi, potrzebowała ogromnych inwestycji.

Rozwiązanie tych trudności można było zorganizować dwójako. Albo wspólnym wysiłkiem zaopatrzyć serce systemu, który dotychczas istniał, w nową krew, skoro własne zapasy zostały wyczerpane, albo znaleźć nowe serce i wstawić je w miejsce starego. Nie stało się ani jedno, ani drugie. Już wkrótce po zawarciu Traktatu Wersalskiego jeden z najszybszych jego krytyków twierdził, że:

„Traktat nie zawiera postanowień w sprawie odbudowy gospodarczej Europy, nie zrobił niczego w sprawie nawiązania stosunków sąsiedzkich z podbitymi państwami centralnymi, nie przewidywał żadnych środków dla stabilizacji nowych państw, ani dla wciągnięcia Rosji w sferę społeczności międzynarodowej, nie popiera współpracy między dotychczasowymi aliantami. Nie osiągnięto porozumienia w sprawie odbudowy finansów Francji i Włoch, ani w sprawie przystosowania systemów gospodarczych Nowego i Starego Świata“.

Jedynym kandydatem do gospodarczego przewodnictwa w świecie były Stany Zjednoczone. Ekonomista amerykański przyznaje, że:

„Po wojnie 1914-1918 Wielka Brytania nie mogła podjąć się roli międzynarodowego amortyzatora gospodarczego świata. Stany Zjednoczone, które stały się największym państwem wierzytelności świata, nie okazywały chęci podjęcia roli regulowania tych spraw, i gdy tylko pojawiły się pierwsze oznaki trudności powojennych, podniosły taryfy celne...“

odcinając się w ten sposób od międzynarodowego mechanizmu gospodarczego. Jeżeli dodamy do tego, że z jednej strony Niemcy, a z drugiej Japonia rozpoczęły atak na system polityczno-gospodarczy Londynu, będziemy mieli pełne tło, na jakim rozwinęło się rozbicie międzynarodowego systemu gospodarczego.

IX

Myśl o zamkniętych do ram państwa organizmach gospodarczych jest starsza niż idea kooperacji międzynarodowej. Merkantyliści,

którzy reprezentowali kierunek gospodarstwa zamkniętego, usiłowali wszelkie zagadnienia gospodarcze rozwiązywać własnymi środkami, a handel międzynarodowy miał służyć jednemu celowi, mianowicie miał przy pomocy nadwyżek eksportowych zdobywać dla państwa cenne metale, jeżeli państwo to nie posiadało dostatecznego ich źródła na swoim terytorium.

W okresie panowania teorii liberalnej myśl o autarkii kielkowała w związku z dwoma problemami. Przede wszystkim narodziła się myśl o państwowości, usiłowano, odosobniając się i ograniczając dopływ towarów z zewnątrz, rozbudować przemysł własny, a w ten sposób wzmocnić państwo gospodarczo. Ponadto wobec wzrostu znaczenia gospodarki narodowej dla prowadzenia wojen państwa próbowały prowadzić taką politykę gospodarczą, by uniezależnić się od pewnych, koniecznych dla życia państwa importów z zewnątrz. Nawet Adam Smith dopuszcza możliwość takiej polityki.

Te motywy w ciągu XIX w. wpływały na poszczególne gospodarstwa narodowe w formie korektur, wprowadzonych przez rządy w system liberalny.

Dopiero wojna 1914-1918 przyniosła nowe zjawisko. Skuteczne użycie broni gospodarczej, uderzającej bezpośrednio w siłę państwa. Względny na obronność państwa i konieczność załatwienia problemów społecznych spowodowały w okresie rozbicia jednolitości gospodarczej świata powrót do nowoczesnej formy merkantylizmu, do autarkii.

Częściową autarkię uprawiali po trochu wszystkie państwa. Np. Wielka Brytania usiłowała zabezpieczyć przy pomocy środków politycznych dopływ ropy. Zmienił się tylko cel nowoczesnego merkantylizmu. Handel międzynarodowy poszczególnych państw nie zdobywał już cennych metali. W zamian za to dążył do zdobycia tych surowców, których posiadanie jest konieczne dla życia państwa lub prowadzenia wojny. Handel międzynarodowy staje się narzędziem polityki państwa:

„W tej nowej formie merkantylizmu... wielkie państwa mobilizują cały swój dyplomatyczny wpływ. Państwa muszą eksportować za wszelką cenę. Handel staje się narzędziem polityki narodowej. Traktaty handlowe zawiera się ze względów strategicznych, tak samo jak przynierza“.

Co więcej, sama polityka gospodarcza może być formą agresji. Autarkia państw nie ma większego znaczenia dla sprawy bezpieczeństwa w świecie, natomiast w ręku wielkich mocarstw może stać się niebezpieczną bronią i narzędziem inwazji. Wówczas przeradza się w autarkię imperialistyczną, narzędzie zmiany układu politycznego siłą.

Cechą charakterystyczną takiej autarkii jest dążenie do stworzenia systemu państw zależnych, satelitów. Państwa te uzupełniają system centralny, dostarczają surowców, niewykwalifikowanego robotnika, terenów, które, pozbawione urządzeń, mających znaczenie dla siły państwa, nadają się na pola bitew w ostatecznej rozgrywce o władzę z innymi państwami imperialistycznymi.

U podstawy planowania autarkii leży świadomość, że okres emigracji na wielką skalę się skończył. Że kraje rolnicze dzisiaj posiadają mniej możliwości rozwijania problemów społecznych i ludnościowych oraz stworzenia nowoczesnej siły wojskowej. Że stały wzrost stopy życiowej obywateli i siły państwa można zrealizować, posiadając w pewnym rejonie pozycję państwa przodującego politycznie i gospodarczo. Handel jest wówczas, jak w hitlerowskim *Grossraumwirtschaft*, formą wyzysku. Autarkia imperialistyczna jest organizacją wyzysku słabszych przez silniejszych i w ostatecznym wyniku prowadzi zawsze do wojny. W kwietniu r. 1936 kierownik departamentu gospodarki wojennej w niemieckim ministerstwie wojny oświadczył, że:

„Gospodarka strategiczna jest istotną częścią gospodarki, przetworzonej przez narodowy socjalizm. Gospodarka strategiczna obejmuje całe życie ludzkie i dlatego jest źródłem przemian społecznych. Jej podstawą jest decyzja osiągnięcia gotowości z punktu widzenia wojskowego. Jest ona główną zasadą gospodarki państwa totalitarnego i stanowi przygotowanie do przyszłej wojny“.

Stąd też można uważać politykę gospodarczą Niemiec z okresu, poprzedzającego rozpoczęcie działań wojennych, za stadium samej wojny. W stadium gospodarczym zmierzano ta polityka do oparcia pod przewodnictwem niemieckim struktury gospodarczej pewnej części obszaru europejskiego na odmiennych podstawach niż dotychczas. Dlatego też system, stworzony przez Niemcy hitlerowskie między dwoma wojnami, posługiwał się odmiennymi metodami i opierał się w całości na Berlinie. Narzędziami w tej polityce były traktaty dwustronne, kontrola dewizowa, system clearingowy. Niemcy operowały w tym handlu cenami wyższymi niż na rynku światowym, oraz polityką walutową, stanowiącą odwrotność polityki krajów wolnego handlu. O ile normalnie państwa operowały metodą dewaluacji celem obniżenia cen swoich towarów i utrzymania się na rynkach światowych, to Niemcy w układach clearingowych operowali wysoką wartością swojej waluty. Mogli zatem płacić ceny wyższe za importy do Niemiec, a mając w ten sposób stanowisko uprzywilejowane, mogli kształtować produkcję w kraju zależnym według swoich potrzeb. Tak usunęli konkurentów z rynków państw zależnych, a następnie, kierując cały eksport do siebie, uniemożliwiali satelitom płacenie swych zobowiązań innym państwom. Rezultatem ostatecznym jest ugruntowanie rozłamu między niemiecką sferą

wpływów a resztą świata i zdobyciem przez Niemcy przewagi politycznej.

X

Jedynie dotychczas w dziejach ludzkości okresy pokoju i bezpieczeństwa były zawsze rezultatem uniwersalistycznej idei i możliwie szerokiego układu politycznego. Wskutek zmian w stosunkach politycznych, a przede wszystkim wskutek tego, że obok Wielkiej Brytanii wyrosły także inne mocarstwa o światowym znaczeniu, system polityczny, oparty na jej autorytecie, stracił realne podstawy. Próbowano więc oprzeć bezpieczeństwo w skali światowej na współpracy wielu mocarstw. Niepowodzenia bezpieczeństwa zbiorowego wynikały stąd, że w dalszym ciągu niektóre mocarstwa nie chciały wziąć odpowiedzialności za utrzymanie pokoju i za regulację systemu gospodarki światowej. Brakło świadomości, że stale, od czasu powstania świata nowoczesnymi komunikacjami, te dwie sprawy są ściśle ze sobą związane. Nawet dzisiaj brak jasnych wyobrażeń w tym zakresie. Przekonanie, że skończył się *homo economicus*, nie jest wyrazem obudzenia się świadomości łączności spraw gospodarczych i pokoju w skali światowej. Teoria bowiem Druckera oznacza porzucenie tej podstawowej łączności narodów i jest sloganem rozbicia politycznego oraz gospodarczego. Jest sloganem wojny imperialistycznej.

Jeżeli przypatrzymy się dzisiejszemu projektowi urzędzenia międzynarodowych stosunków politycznych i gospodarczych, to przekonamy się, że polegają one na ograniczeniu suwerenności państw mniejszych, pozostawiając inicjatywę kilku największych mocarstw urządzanie stosunków w rejonie ich przewagi. Wszelkie nadbudówki, łączące te państwa w całość wyższego rzędu, są tak luźne, że w praktyce państwa te zachowują pełną swobodę. Bardzo ciekawych wskazówek dostarcza śledzenie obrad konferencji w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego (w Dumbarton Oaks), czy też konferencji lotniczej (w Chicago). Wygląda na to, że jako ostateczny rezultat przyjdą proponowane przez niektórych polityków i ekonomistów sfery wpływów wielkich mocarstw. Obawiać się jednak należy, że system ten nie doprowadzi do usunięcia rywalizacji między najsilniejszymi państwami. Te same obawy podziela ekonomista amerykański, który pisał jeszcze przed obecną wojną:

„Taki regionalizm może jednak doprowadzić do stworzenia rywalizujących ze sobą imperialistycznych systemów gospodarczych, które będą miały wielkie trudności w pogodzeniu swych interesów ekonomicznych“.

Pomijając to, że przynależność do systemów gospodarczych niektórych państw może równać się zagładzie politycznej i gospodarczej, plan taki rażąco przypomina imperialistyczną autarkię Hitlera. A przecież nie o to już pięć lat walczą demokratyczne narody świata. Należy się obawiać, że następnym stadium byłoby wtedy starcie między tymi imperializmami, przy czym zwyciężcą zostałby ten, kto silniej krepowałby państwa zależne. Przy dzisiejszych metodach walki wojnę wygrywa ten, kto zdoła roznieść swoją produkcję wojenną tak, by ewentualne latające bomby czy pociski rakietowe nie mogły jej dosięgnąć. Wskutek tego przygotowanie do wojny musi oznaczać odpowiednie ogłoszenie z przemysłów sfer granicznych, a zgromadzenie ich w dalekim *Hinterlandzie*. Możliwości takie są ograniczone i nie dla każdego mocarstwa takie same. Do pewnego stopnia posiada je tylko ZSSR, który może przenieść swoje przemysły daleko za Ural. W stosunku do Europy posiada je tylko Ameryka. Usiłowania Japonii zabezpieczenia się przed ciosami lotniczymi alianckimi dały tylko chwilowe rezultaty. Imperium Brytyjskie może zgrupować swoje przemysły w Kanadzie, ale wówczas Stany Zjednoczone zostaną zagrożone. Naturalnie wszelkie tego rodzaju spekulacje mają wartość przy pewnym stanie techniki. W każdej chwili jakiś wynalazek może obalić wartość tego rodzaju zabezpieczeń. Gdyby państwa poszły na koncepcję sfer wpływów i ubezpieczenia się w ich obrębie, nie sposób objąć umysłem wszystkich konsekwencji populacyjnych, gospodarczych i kulturalnych, a rezultaty prawdopodobnie byłyby bardzo nietrwałe.

Tylko światowe powiązanie państw w gospodarczą całość bez wyjątku — da pokój. Tylko wówczas, gdy każdy naród będzie mógł swobodnie wybierać kontrahentów gospodarczych i sprowadzać towary i urządzenia przemysłowe z dowolnego kraju, istnieć będzie możliwość zniszczenia od podstaw imperializmu. Jeżeli tylko jedno państwo, mające możność prowadzenia polityki gospodarczej, którą określiliśmy jako autarkię imperialistyczną, odłączy się chińskim murem od reszty świata, narzuci ono innym państwom podobną politykę. Taka autarkia jest dzisiaj identyczna ze zbrojeniami, a te prowadzą zawsze do wojny.

Kazimierz Grzybowski

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“ ukazał się tom wierszy

Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW

Wydanie drugie
Cena 200 milsów

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

O WIELKI RAPPERSWIL

Los dał nam jedną z najgorszych sytuacji geograficznych, jakie można było na kuli ziemskiej znaleźć. Położone na szlaku odwiecznych wędrówek narodów Państwo Polskie jedynie na południu znajduje naturalne granice w Karpatach. Na północny może się oprzeć o Bałtyk. Natomiast na całej polskiej równinie wiatr od Wschodu i Zachodu swobodnie może hulać. Granice nasze na wschodzie znaczą czasem wąskie koryta rzek, cza-

największego państwa na wschodzie Europy. Na wschód i zachód od granic Rzeczypospolitej wyrosły dwa wielkie bloki imperialne: Rosja i Niemcy. Odtąd stajemy się puklerzem dwustronnym. Walczymy z niemieckim *Drang nach Osten* i z wylewaniem się na zachód ziem rosyjskich. Przystajemy być tarczą Europy, bronimy swej własnej egzystencji. Pówołujemy się Europie mniej potrzebni. Zabórcy niszczą, gdzie mogą, ślady pol-

cji nowoczesnej jest nieznana. Zapoznawany przez nas samych jest wysiłek tylu jednostek, które w najdziwniejszych warunkach ży-

wych i pamiątek historycznych przyswiecała poprzednim pokoleniom w czasach, gdy przez ziemię polską przelewały się kolejne fale



Wschodnie granice gotyku
(granice oznaczono białymi punktami)

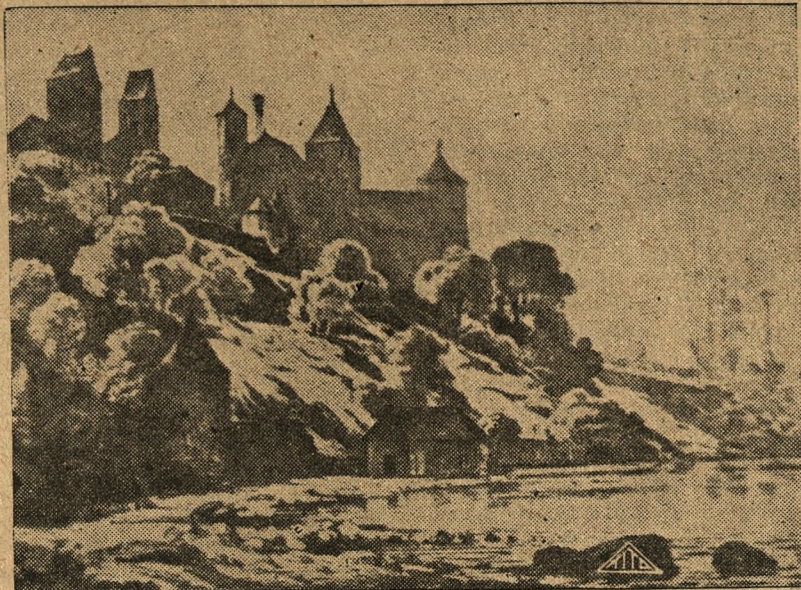
sem jakieś lasy czy trzęsawiska, a czasem tylko drewniane słupy, na kolor państwowy pomalowane.

Z naszej sytuacji geograficznej wynikają wszystkie koleje naszych dziejów. Przez wieki całe byliśmy tarczą, chroniącą Europę przed zalewem wschodnich najazdów. Niszczono nam ciągle miasta i wsie, zamki i chłopskie chaty, palono biblioteki i zbiory, grabiono kościoły.

Podróżny, nie znający historii Polski, przybywając do naszego kraju, mógłby przypuszczać, że jest to kraj, który, będąc ongi kulturalnym, wskutek jakiegoś tajemniczego katalizmu dziejowego, czy po prostu wskutek zajęcia go przez inny naród czy rasę, — podupadł następnie. Liczne ruiny zamków, nie które kościoły czy zachowane rezydencje świadczą o wspaniałej przeszłości. To my wysunęliśmy najdalej na wschód Europy granice gotyku, to my stworzyliśmy własny styl renesansu, to my zanieśliśmy barok, a z nim i wpływy kultury zachodniej gdzieś daleko na ówczesne Dzikie Pola. To Polacy budowali kościoły i zamki, ratusze i domy, które zdobiły kiedyś nasze ziemie. Zaledwie część ich ocalała od niszczycielskich działań najeźdźców. Najazdy tatarskie nękały Polskę przez blisko pięć wieków, od czasu Batu Chana w 1241 r. po rok 1720, kiedy to ostatni z nich aż blisko pod Tarnów się posunął. Później płądrowali ziemie nasze Turcy, Szwedzi, Kozacy, Niemcy (pod różnymi na przestrzeni wieków nazwami), no i przez ostatnie trzy stulecia przede wszystkim Rosjanie.

Dzięki swej wielkiej sile i żywotności kultura polska trwa i rozwija się pomimo wszelkie przeciwności losu. Każde pokolenie odbudowuje na nowo zniszczone domy ojców.

Bezustanne wojny i najazdy wyczerpały jednak siły nasze. Zajęci odrabianiem spustoszeń, nie mieliśmy możliwości normalnego rozwoju. Jeliśmy się cofać z pozycji naszej, —



Widok Rapperswilu

ciowych twórczy polski wiek XIX. Uciera się nawet teoria, że Polska wieku XIX „nie przeżyła”. Teoria fałszywa, wynikająca z niechęci szczęśliwego pokolenia Polski Odrodzonej do mozolnego zbierania strzępów prac i dokonani, czynionych przez poprzednie pokolenia.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w przyszłych naszych dziejach odbijać się będzie, jak dotychczas, ujemny wpływ sytuacji geograficznej na warunki egzystencji narodu. Pokolenie nasze przeżyło fale najstraszliwszych zniszczeń. Wywieziono i zniszczono polskie muzea, biblioteki, archiwa. Dziesiątki zabytków sztuki nie istnieją. Czytamy w pismach obcych, wiele lat trzeba będzie odbudowywać straty, zadane paru mniejszym miastom Francji. — A Warszawa?...

Czasem rodzą się gdzieś w rozpaczę pocięte pomysły, by naród polski wyprowadzić z ziem, które od wieków zamieszkuje, by szukać szczęścia gdzie indziej. Jest to, oczywiście, utopia. Jesteśmy i będziemy tam, gdzie los nam kazał tkwić. Zmuszono nas nieraz do tego, byśmy byli narodem na taczach i kibitkach, — ale fatalizm ziemi ojczystej jest czymś równie silnym i dziedzicznym, jak fatalizm krwi. Obok zagadnienia zachowania biologicznego sił narodu, wystawionego na tyle straszliwych prób, istnieje problem ratowania wartości kulturalnych. Wojna obecna, powszechna, wszechobejmująca, wykazała, że totalne zwycięstwo musi być połączone z totalnym niszczeniem myśli zwyciężanego narodu.

Troska o zachowanie materiałów nauko-

zniszczeń. Powstawały liczne instytucje polskie za granicą, poświęcone gromadzeniu ocalałych zabytków. Z nich najważniejszą było chyba muzeum w Rapperswilu. Na wolnej ziemi szwajcarskiej istniał skrawek niepodległej Polski. Założone w r. 1868 muzeum zlikwidowano w czasach Polski Odrodzonej, gdy zdawało się, że nie potrzeba już na obcej ziemi szukać przytułku dla narodowych pamiątek.

Kolejne obecne wojny wykazały, jak złudnymi były nadzieje, jak zawodnymi przypuszczenia, że nauka i kultura polska nie będą niszczone przez nowe kataklizmy.

Z dziejów narodu polskiego w czasie drugiej wojny światowej powinniśmy wyciągnąć właściwe wnioski. Jako zapłatę częściową za straszne ofiary, poniesione przez Polskę i Polaków w czasie tej wojny, — gdzieś w jakimś bezpiecznym zakątku świata, w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie, powstać mogłyby rezerwat polskiej nauki i kultury. Są w świecie małe państwa, jak Andorra czy Monaco lub San Marino, których egzystencja jest szanowana przez sąsiadujące mocarstwa. Mało jest prawdopodobnym, by Polska miała dostać jakieś kolonie, bezpieczne od zawojowań. Przy tym klimat kolonii nie nadaje się zwykle do tworzenia osiedli, poświęconych nauce. Gdzieś w warunkach klimatycznych, zbliżonych do polskich, powinien powstać nowy, wielki, polski Rapperswil, — obszar, poświęcony zachowaniu kultury polskiej. Na obszarze tym mogłyby swobodnie się rozwijać polskie zakłady naukowe, laboratoria, drukarnie, biblioteki i muzea. Do tego obszaru mieliby wolny dostęp wszyscy uczeni polscy, którym warunki polityczne nie będą pozwalały na pracę w kraju. Byłyby tam drukowane książki, których ukazanie się na ziemiach polskich wzbraniały tylekroć obce cenzury. W osiedlu istnieć winna zupełna swoboda myśli i słowa. Władzę mogłyby w nim sprawować rodzaj senatu, pierwotnie wyznaczonego przez Rząd Rzeczypospolitej, a następnie odnawiającego się podobnie do senatów wyższych uczelni. Jeśli obszar byłby dostatecznie duży, mogłyby być nawet samowystarczalne gospodarczo. Jeśli byłby zbyt mały na to, — istnienie zakładów naukowych należałoby oprzeć o fundację specjalną.

Projekt może się wydawać czymś fantastycznym, — lecz nie mało wyobraźni trzeba, by ratować wartości, które niszczono są z całą premedytacją, z najbardziej wyrafinowaną wyobraźnią. Jesteśmy największym z narodów, który jest wystawiany na tak stałe niszczenie kultury. Tragedia Warszawy nie ma sobie równej w dziejach nowożytnych.

Musimy znaleźć środki dla zachowania polskiej kultury i sztuki. Wiemy, że jesteśmy narodem zdolnym, że w okresach, gdy nam na to pozwalają, dochodzimy do dużych osiągnięć. Widzimy, jak bujny rozkwit przyjmują nauki i sztuki przy ledwie znośnych warunkach. A przecież wiele razy w ciągu wieku XIX przerywana była wszelka ciągłość pracy pokoleń!

Nie wiadomo, co nam niesie przyszłość, możemy być pewni, że sytuacja geograficzna Polski przedstawiać będzie zawsze poważne niebezpieczeństwa dla stanu nauk i sztuk na jej ziemiach.

Jakiś wielki Rapperswil w części świata, oddalony od szlaków wojennych, powinien zachować ciągłość wysiłku kulturalnego Polski, powinien ułatwiać rozwój geniuszu twórczego narodu.

Jest to tylko fantazja, nic więcej, tylko fantazja, — taki projekt wielkiego Rapperswilu. Ale przeżyliśmy tyle wydarzeń strasznych, nie przypominających nawet najgorszych koszmarów...

Należą się nam inne jeszcze prawa, — oprócz przywileju cierpień i strat! Prawo do wolnej myśli. Gdzieś, kiedyś byliśmy podobno natchnieniem narodów. A więc niech ta myśl polska, która stała się tego natchnienia źródłem, znajdzie dla siebie jakiś skrawek ziemi, — wolny od ognia, krwi i żelaza.

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”
ukazały się następujące książki:

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II.

Stron 330

Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

TOBRUK-GAZAŁA

Str. 112 + 2 mapy + 4 zdjęcia

Cena 180 milsów.

(a NIE jak błędnie podano w poprzednim numerze: 250 milsów)

ROMAN FAJANS

WŁOCHY — 1944

Str. 132 + 1 mapa + 5 zdjęć.

Cena 200 milsów.

W D R U K U :

TEODOR PARNICKI

SREBRNE ORŁY

T. II.

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach

BOLESŁAW PRUS

L A L K A

T. III. — IV.



Pokój emigracji w Rapperswilu

TYMON TERLECKI

SZKOLNICTWO TEATRALNE W POLSCE

Szkolnictwo teatralne, świadome, planowe kształtowanie artysty scenicznego, jest w Polsce prawie tak dawne, jak teatr publiczny, teatr, otwarty dla szerokich mas społeczeństwa. Pierwszą tego nowoczesnego typu scenę otwarto w Warszawie w r. 1765, a pozostałe lata XVIII stulecia były w Polsce, przechodzącej właśnie największy i najcięższy kryzys historyczny, widownią gruntowania się teatru jako stałej instytucji kulturalnej i narodowej, która w hierarchii życia zbiorowego zajęła jedno z miejsc najwyższych. Ten znamienny proces, nigdzie indziej nie powtarzający się w takiej wyrazistości, jest związany z osobą jednego człowieka — Wojciecha Bogusławskiego. Był on promotorem idei teatru publicznego i miał po temu wszystkie dane: łączył w sobie — trochę jak Shakespeare — kompetencje przedsiębiorcy teatralnego, kierownika teatru, aktora (i to aktora dramatycznego, jak i operowego), reżysera, inscenizatora, tłumacza, oryginalnego autora scenicznego. Pierwszy w Polsce wystawił *Hamleta*, grał pod koniec życia rolę króla Leara, przystosował dla sceny polskiej Sheridan'a *The School for Scandal*. Nie symbolicznie, ale realnie objął swoją działalnością całą Polskę, rozczołkowaną przez państwa, biorące udział w jej rozbiórach: działał we Lwowie, w Wilnie, w Poznaniu, w Warszawie. Bogusławski też, zamykając dzieło życia, stworzył teoretyczne podstawy pod szkolnictwo teatralne i kierował pierwszą szkołą aktorską w Polsce.

Szkoła, wywodząca się od Bogusławskiego, utrzymywana przez miasto Warszawę, związana organicznie z Konserwatorium Muzycznym, przetrwała w rozmaitych formach aż do doby niepodległości. Ta chwila jest dla szkolnictwa teatralnego w Polsce przełomowa: wchodzi ono wtedy w obręb państwowej opieki szkolnej. Warszawska Szkoła Dramatyczna przestaje być instytucją, dotowaną przez miasto, staje się pod nazwą Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej formacją samodzielną, niezależną od Konserwatorium Muzycznego, podlegającą bezpośrednio Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, utrzymywana przez państwo.

Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej (PIST) w Warszawie był uczelnią, reprezentującą typ pośredni między artystyczną szkołą wyższą, jak państwowe Konserwatorium Muzyczne w Warszawie czy Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i Krakowie, a zawodową szkołą średnią, jak liczne w Polsce szkoły przemysłu artystycznego. W sposób zupełnie naturalny grawitował on ku typowi artystycznej uczelni akademickiej i właściwą za porą w tym nieuchronnym rozwoju były raczej względy budżetowe, niż jakiegokolwiek inne.

Do czasu obecnej wojny miał Instytut w pełni zorganizowane dwa wydziały: Wydział Sztuki Aktorskiej (wywodzący się bezpośrednio z dawnej „Szkoły Dramatycznej”) i Wydział Sztuki Reżyserkiej (w którego obręb wchodziło także kształcenie scenografów, dekoratorów we współdziałaniu z Akademią Sztuk Pięknych). Statut Instytutu przewidywał utworzenie dwu dalszych wydziałów: Wydziału Sztuki Filmowej i Wydziału Teatrológicznego, studium o charakterze już naukowsko teoretycznym, odpowiadającego studium muzykologii w uczelniach uniwersyteckich. Wydział Sztuki Filmowej był tuż przed wojną bliski realizacji. W roku szkolnym 1939-1940 rozpoczął się miały pierwsze wykłady i zajęcia praktyczne. Wydział Teatrológiczny był jeszcze ciągle sprawą przyszłości.

Warunek minimalny przyjęcia na Wydział Sztuki Reżyserkiej stanowiła ukończona 8-klasowa szkoła średnia (matura gimnazjalna), warunek pożądany: jednocześnie studium humanistyczne na uniwersytecie, optimum: ukończone studium uniwersyteckie lub ukończony Wydział Sztuki Aktorskiej i praktyka teatralna. Wymagania, stawiane przy przyjmowaniu na Wydział Sztuki Aktorskiej, były mniejsze, ale nigdy nie schodzono poniżej cenzusu ukończonych sześciu klas szkoły średniej (matura licealna); raczej ten cenzus uważano za minimalny i wyjątkowy. Jak z tego widać, już te dwa wydziały (nie mówiąc nawet o planowanym Wydziale Teatrológicznym) stawiały wymagania praktyczne równe wymaganiom, przyjętym przez szkoły wyższe typu kontynentalnego.

Studium na obu wydziałach było trzyletnie, z dążnością do przedłużania go na Wydziale Sztuki Reżyserkiej dla uczniów zbyt młodych lub niedojrzałych. Także na Wydziale Sztuki Aktorskiej nie do zupełnej rzadkości należało powtarzanie roku w przypadku zbyt powolnego rozwoju wychowanka.

Wszystkie zajęcia odbywały się w godzinach popołudniowych i wieczornych. Zaczynały się z reguły o godzinie 4.30, kończyły o 9.30. System ten został przyjęty ze względu na profesorów „praktyków”, t. zn. aktorów i reżyserów, którzy w godzinach rannych byli zajęci próbami w teatrze, a także ze względu na to, aby słuchaczom umożliwić studia i pracę dodatkową, oraz obserwację prób na scenach warszawskich.

W ostatnim roku szkolnym przed wojną 1938-1939 oba Wydziały liczyły około 90 uczniów, z czego co najmniej dwie trzecie przypadało na Wydział Sztuki Aktorskiej. Wykładał na nich 31 fachowców, teoretyków i praktyków. Zespoły profesorskie obu wydziałów stanowiły ich rady pedagogiczne o statu-

towych uprawnieniach bardzo szerokich, wzorowanych na radach wydziałów szkół akademickich (np. prawo powoływania nowych profesorów, kształtowanie planu nauki i t. d.). W sprawach, dotyczących obu wydziałów, ich rady obradowały wspólnie (niektórzy praktycy i teoretycy pracowali na obu wydziałach, nie było to jednak regułą).

Budżet roczny Instytutu wynosił około 100.000 zł. Mieścił w tej sumie fundusz stypendialny, z którego korzystał znaczny procent słuchaczy. Stypendium przyznawano jednak dopiero po pewnym okresie pobytu w Instytucie (od pół roku do pełnego roku).

Plan nauk na Wydziale Sztuki Aktorskiej wywodził się tradycyjnie z doświadczeń dawnej „Szkoły Dramatycznej”, choć został gruntownie unowocześniony przez jednego z ostatnich dyrektorów Instytutu, Aleksandra Zelwerowicza, — znakomitego aktora typu realistycznego, człowieka o dużej kulturze osobistej i intelektualnej, znającego z bezpośredniego zetknięcia teatr francuski, rosyjski i niemiecki. Plan ten obejmował następujące przedmioty teoretyczne: historię dramatu polskiego i obcego, historię teatru, historię sztuk plastycznych, kostiumologię (z ćwiczeniami praktycznymi), teorię wiersza, oraz następujące przedmioty praktyczne: naukę wokalną (stawianie głosu, dykcja, wymowa sceniczna i t. d.), naukę elementów charakterystyki, rytmikę plastyczną, według metody E. J. Dalcroze'a i E. Claparide'a, szermierkę i wreszcie w szerokim zakresie naukę interpretacji estradowej wiersza i naukę gry aktorskiej we wszystkich postaciach (dramat poetycki, dramat realistyczny, komedia obyczajowa, komedia konwersacyjna, farsa i t. d.).

Ten ostatni, najobszerniejszy dział studiów był obsadzony przez wybitnych aktorów i reżyserów scen stołecznych, z reguły artystów o bardzo długim doświadczeniu, reprezentujących rozmaite temperamenty twórcze, rozmaite poglądy artystyczne i odmienne metody pracy. Obejmował on wszystkie stadia tworzenia kreacji aktorskiej od ustalenia założeń teoretycznych, poprzez różne fazy analizy tekstu dramatycznego, do kształtowania roli na scenie, pod kierunkiem profesora przy współuczestnictwie kolegów. Kładziono duży nacisk na rozbudzenie wyobraźni, na przełamanie oporów psychicznych, tu dużą rolę odgrywała improwizacja sceniczna, indywidualna lub zbiorowa, która była ulubioną metodą pracy Zelwerowicza.

Zasadę stanowiło, aby przez pierwszy rok studium trzymać słuchacza jak najdalej od „grania”, od „aktorstwa”, aby wpród dać mu elementarne przygotowanie wokalne, psychiczne i techniczne do właściwego tematu studium, nauki rzemiosła aktorskiego, na które kładziono szczególny i dobitny nacisk przez dwa dalsze lata. Inna, nieprzełamana i również odmienna od tradycyjnej praktyki pedagogicznej zasada mówiła, iż w czasie pobytu w Instytucie uczeń nie może pod żadnym warunkiem występować w jakimkolwiek charakterze na scenie zawodowej, nawet jako statysta. Głód obecności u „prawdziwym teatrem” miały zaspokoić co tygodniowe wycieczki zbiorowe i bezpłatne na coraz to inne przedstawienia w teatrach warszawskich (samych polskich scen dramatycznych było w Warszawie przed wojną — osiem, nie licząc innojęzycznych, muzycznych, kabaretowych, rewiiowych), głód tworzenia teatru zaspokajały widowiska szkolne dla użytku wewnętrznego, samodzielnie montowane przez uczniów w Instytucie.

Rozwój ucznia w ciągu trzyletniego studium był sprawdzany przez pokazy praktyczne (przed komisją) i egzaminy teoretyczne (składane indywidualnie). Był on nadto dwa, trzy razy do roku szczegółowo dyskutowany przez całe ciało nauczycielskie na t. zw. radach kwalifikacyjnych, których decyzje mogły ucznia usunąć w ciągu roku szkolnego, zatrzymać go po raz drugi na ten sam rok studiów, wskazywać mu braki, udzielać napomnień i t. d.

Zakończenie studium miało dwojaką formę: teoretycznego egzaminu końcowego i t. zw. popisu. Egzamin końcowy był swobodną dyskusją na temat z zakresu polskiej lub obcej literatury dramatycznej, obrany i przygotowany przez ucznia w porozumieniu z historykiem dramatu; miała ona wykazać stopień dojrzałości i samodzielności umysłowej absolwenta. Dyskusja taka, przypominająca w skromnym zakresie obronę tezy, odbywała się wobec komisji, współkolegów, a nawet często ludzi z poza Instytutu (aktorów, krytyków i t. d.). Po dyskusji absolwent prezentował na scenie, ale bez żadnych rekwizytów i akcesoriów teatralnych, swobodnie wybrany i samodzielnie przygotowany fragment dramatu; na planie lub makiecie zaś uzasadniał takie a nie inne ujęcie aktorskie.

„Popis” był występem zbiorowym, prezentacją absolwentów na prawdziwej scenie, w prawdziwej robocie aktorskiej z zastosowaniem całej aparatury sceniczej. Każdy, opuszczający Instytut wychowanek występował po raz pierwszy pod swoim nazwiskiem lub przybranym imieniem scenicznym, przedstawiał fragment (jeden lub więcej) utworu, dobrane go jego indywidualności, starannie przygotowany pod kierunkiem i kontrolą profesora praktyka. Doroczne „popisy” były uroczystościami Warszawy teatralnej, ściągającymi tłumy publiczności, zainteresowanej uczuciowo, ale też i krytyków, występujących

w swoim charakterze zawodowym, i kierowników wszystkich scen polskich, zjeżdżających się dla poznania nowego narybku aktorskiego.

W przeciwieństwie do wydziału, kształcącego aktorów — Wydział Sztuki Reżyserkiej, powołany do życia na niecałe dziesięć lat przed obecną wojną, nie opierał się na doświadczeniach tradycji, stanowił eksperyment, usiłowanie świeże i zupełnie oryginalne. Był pierwszą lub jedną z pierwszych szkół, kształcących reżyserów (o ile wiem, pewne próby, zdaje się na szczuplejszą skalę, były robione tylko w Rosji i w Niemczech). Swoją zasadniczą zarys zawdzięczał ten Wydział najwybitniejszemu inscenizatorowi współczesnej Polski, Leonowi Schillerowi, twórcy polskiego stylu scenicznego, t. zw. teatru monumentalnego, artystcie o rozległej i wszechstronnej wiedzy w zakresie teatralnym, oraz dużym, historycznym już dorobku twórczym).

Plan nauk na tym Wydziale, jeszcze ostatecznie nie skryształizowany, ciągle jeszcze będący w stanie prób, zmian, uzupełnień, można by ująć w trzy zakresy.

Pierwszy z nich stanowiły przedmioty teoretyczne: praeistoria teatru i dramatu światowego (poza europejskim: dramatu staroegipskiego, chińskiego, hinduskiego i japońskiego), historia teatru, teoria dramatu, filozoficzne głównych epok teatru, psychologia ogólna, psychologia aktora i typologia aktora, estetyka ogólna i estetyka teatru, socjologia teatru, nauka o wierszu, historia tańca widowiskowego, historia sztuk plastycznych ze szczególnym uwzględnieniem historii form sceniczych, kostiumologia, encyklopedia muzyki (główne formy muzyczne, historia opery, historia zastosowania muzyki w teatrze i t. d.).

Jednakże nie ten zakres przedmiotów, choć wiele mówiący o ambicji i poziomie studium, wydaje się tak charakterystyczny dla dążności, reprezentowanej przez twórcę i kierownika Wydziału Sztuki Reżyserkiej, co druga grupa przedmiotów teoretyczno-praktycznych. Obejmowała ona podstawowe przygotowanie muzyczne, przygotowanie w zakresie elementarnej kompozycji tanecznej, ćwiczenia scenograficzne, t. zn. w zakresie kompozycji przestrzeni sceniczej. Te przedmioty i kilka innych, mniej ważnych (jak np. notacja ruchu według systemu pomysłu polskiego choreologa, Stanisława Głowackiego) zdradzają zasadniczą tendencję do kształcenia fachowca, któryby odpowiadał pojęciu „artysty teatru”, stworzonemu przez angielskiego reformatora, Edwarda Gordona Craiga, sformułowanemu w jego epokowej książce *On the Art of the Theatre*.

Dążność ta tłumaczy się dwoma faktami. Pierwszy z nich to zadziwiająca okoliczność, iż wtedy, gdy Craig kształtował swoją koncepcję teatru i „artysty teatru”, w Polsce działał Stanisław Wyspiański, dramaturg, malarz, inscenizator, autor książki o *Hamlecie*, stawał się pełnym, genialnym wcieleniem ideału „artysty teatru”. Drugi to fakt, iż Leon Schiller, wyszedłszy z kręgu pobudzeń Wyspiańskiego, związał się przez lata z Craig'em jako jego uczeń, współpracownik, wyznawca i przyjaciel.

W tych dwu faktach tkwi źródło zasadniczej tendencji pedagogicznej, górującej na Wydziale Sztuki Reżyserkiej. Zdążyła ona do tak wszechstronnego przygotowania ucznia, które by mu pozwoliło być istotnie suwerennym twórcą teatralnym, zdolnym do jednoznacznej, kierowniczej roli nie tylko w tradycyjnym zakresie zadań reżysera, ale i w zakresie formy plastycznej, formy taneczno-ruchowej i formy muzycznej. Już na terenie Wydziału uczył się on współpracować z plastykiem scenicznym, który razem z nim odbywał część studium. Na dostarczonym materiale adepteckich szkół tanecznych uczył się komponować proste i bardziej złożone elementy tańca i ruchu zbiorowego po to, aby umiał w przyszłości zgodnie ze swoją wizją, wolą i organiczną jednością widowiska włączyć do niego ten czynnik składowy. Kształcił się muzycznie po to, aby mógł podyktować zadanie współpracownikowi muzycznemu i ściśle związać jego udział w kompozycji teatralnego dzieła sztuki.

Trzeci dział studium stanowiły seminaria, prowadzone przez najwybitniejszych reżyserów scen polskich. Uczono w nich niejako laboratoryjnie tego całego, złożonego procesu, poprzez który dokonuje się przetworzenie tekstu pisanego w widowisko sceniczne, partytury dramatycznej w symfonię teatru. Studium to obejmowało cały rozległy zakres nowoczesnych form sceniczych, od dramatu poetyckiego i dramatu psychologicznego aż do komedii muzycznej. Szczególny nacisk kładziono na t. zw. polski dramat monumentalny z doby romantycznej i poromantycznej (Wyspiański), stawał się najwyższe osiągnięcia literatury polskiej i podstawę oryginalnej formy sceniczej, określanej mianem polskiego teatru monumentalnego. Ze wskazanej dążności do kształcenia „artysty teatru” wynikał także fakt, iż uczeń otrzymywał przygotowanie dramatyczne, które go miało dysponować do przetworzenia pracy nad tekstem (przeróbki utworów starych dla sceny nowoczesnej, przetwarzanie powieści na scenę).

System egzaminowania i kwalifikowania

*) Porównaj o nim mój artykuł *Polish Monumental Theatre* w ostatnim, z zimy 1944—45, numerze czasopisma *New Writing and Daylight*.

był mniej więcej podobny jak na Wydziale Sztuki Aktorskiej, tylko z natury studium bardziej skomplikowany (uczeń musiał przedstawiać na scenie wykonane w materiale ludzkim fragmenty sztuk lub w obecności komisji prowadzić normalną pracę reżyserską). W ciągu trzech lat każdy słuchacz był obowiązany odbyć pewną ilość prac jako asystent reżysera przy wielkich widowiskach w teatrach warszawskich i referować swój dział, spostrzeżenia i doświadczenia na piśmie.

Zamknięcie studium stanowiła praca dyplomowa, przygotowana pisemnie i dyskutowana publicznie, oraz t. zw. praca warsztatowa. Było to pod kierunkiem jednego z profesorów praktyków, przy udziale jednego z profesorów teoretyków, przygotowane przedstawienie teatralne na rzeczywistej scenie z zawodowymi aktorami, traktowane jako jednorazowe widowisko publiczne z udziałem krytyki. Widowiska te należały do ciekawszych w sezonie teatralnym Warszawy, wybijały się przede wszystkim pod względem repertuarowym, bo nie ciążyły na nich względy merkantylne (kilka przykładów: *Tq-morrow* Conrada, *The Man of Destiny* Shaw'a, *La fille Violine* Claudela, *Orphée* Cocteau, *Miracle de St. Antoine* Maeterlincka, *Fraulein Julie* Strindberga, *Elektra* Hoffmanna, *Don Miguel* Manara Milosza).

Dla uzyskania pełni obrazu należy jeszcze określić stanowisko zarzysowanego tutaj systemu w życiu teatralnym Polski. Instytut Sztuki Teatralnej był instytucją szkolną monopolistyczną: nie tylko kształcił aktorów i reżyserów dla scen zawodowych, ale miał prawo egzaminowania wszystkich kandydatów do stanu aktorskiego i reżyserskiego mniej więcej według norm, przyjętych w Instytucie. Istniały poza nim tylko szkoły prywatne, n.p. we Lwowie, prowadzona przez znakomitą aktorkę, Wandę Siemaszkową, w Wilnie bardzo interesująca szkoła, w wyższym stopniu zdążająca do rozbudzenia szlachetnych zainteresowań artystycznych, niż przygotowująca zawodowa.

Rzecz ciekawą, bodaj jedyną w swoim rodzaju stanowi to, że źródło tego monopolistycznego uprawnienia Instytutu nie było natury ustawowej czy administracyjnej, ale natury społecznej i zwyczajowej. Wynikało ono z niezmiernie silnego związania pracowników teatru w jeden syndykat zawodowy p. n. „Związek Artystów Scen Polskich”, oparty na daleko posuniętej solidarności. Podstawą tej solidarności była zasada, iż żaden aktor, śpiewak, reżyser, należący do Związku, nie może pracować w teatrze, który nie zobowiąże się zatrudniać wyłącznie członków Związku. Zasada ta, poparta przez głównego mecenasa teatrów w Polsce, samorządy miejskie, spowodowała zniknięcie teatrów niezwiązkowych, dała syndykatom olbrzymi wpływ nie tylko na kształtowanie losu materialnego ludzi teatru, ale i na cały ustrój tego zawodu, na jego świadomość artystyczną i obywatelską.

W tym stanie rzeczy dopływ nowych sił do teatru nie mógł pozostać poza kontrolą Związku. Zrazu wykonywał on je sam przez specjalne komisje egzaminacyjne. Gdy powstał Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, na podstawie *gentlemen agreement* między czynnikiem państwowo-administracyjnym i społeczno-zawodowym, funkcje te przeszły na najwyższą instancję naukową w tym zakresie. Związek zadowolili się zwyczajowym wysłaniem delegatów do komisji egzaminacyjnej dla t. zw. eksternistów. Delegaci ci mieli prawo badania kandydata pod względem uświadomienia społecznego i zawodowego oraz prawo głosu, nie wywierali jednak rozstrzygającego wpływu na kwalifikowanie do zawodów teatralnych. Związek uważał wszystkie orzeczenia komisji Instytutu za wiążące.

Wierny swojej tradycji „Związek Artystów Scen Polskich” wznowił na kilka lat przed wojną swoje pismo zawodowe w formie poważnego, bardzo obszernego kwartalnika naukowego p. n. *Scena Polska*. Stworzył w ten sposób dla profesorów Instytutu ważny i cenny instrument pracy, dla uczniów niezbędną pomoc, bo ze *Sceną Polską* związane wydawnictwo podręczników p. n. *Wiedza o teatrze*.

Cały ten dorobek w zakresie szkolnictwa teatralnego wskutek działań wojennych padł w gruzy razem ze wszystkimi polskimi osiągnięciami z zakresu teatru. Furia zniszczenia nie oszczędziła instytucji, której zadaniem było kłaść podstawy pod racjonalny rozwój sceny polskiej w przyszłości. W dniach 23, 24 i 25 września 1939 r. spłonęła od pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych Opera warszawska wraz z magazynami historycznych kostiumów teatralnych, Teatr Narodowy i kameralny Teatr Nowy. Wtedy też z całym urządzeniem scenicznym i szkolnym całkowicie zniszczeniu uległ Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej, mieszczący się w oficynie tych teatrów. Płonienie pochłoniętych archiwum, bogaty zbiór fotografii aktorów kilku pokoleń i wspaniałą bibliotekę w wielu językach, jedyną tego rodzaju w Polsce, jedną z najbogatszych bibliotek teatrológicznych w Europie.

Tylko pomnik Wojciecha Bogusławskiego, ojca sceny polskiej, twórcy polskiego stanu aktorskiego i jego pierwszego nauczyciela, stojący u wejścia do Teatru Narodowego, ostał się wśród kataklizmu jakby na znak, że wielkie tradycje duchowe zdolne są przetrwać ślepy rozpęd zniszczenia.

PORUCZNIK HERBERT

GENERAL TADEUSZ BÓR-KOMOROWSKI

Postać dowódcy Armii Krajowej, generała Tadeusza Bora-Komorowskiego, który ostatnio mianowany został Wodzem Naczelny Polskich Sił Zbrojnych, ze zrozumiałych przyczyn okryta była zasłoną tajemnicy. Nawet teraz, kiedy generał Bór dzieli los swoich żołnierzy-obronców Warszawy, brak pewnych danych biograficznych o nim i niesposób naszkicować sylwetki tego człowieka tak, aby stworzyć wierny jej obraz. Niemniej to, co o nim mówią ludzie, którzy znali go przez dłuższy lub krótszy okres czasu, lub nawet ci, którzy spotkali go tylko przelotnie, rzuca charakterystyczne światło na tę postać, ukrytą w cieniu konspiracji; na bohatera walki podziemnej w Polsce, który był jednym z twórców Armii Krajowej i bezpośrednio kierował jej działaniami aż do upadku Warszawy w dniu drugim października roku bieżącego.

Jeden z kolegów szkolnych gen. Bora, który był z nim w tej samej klasie IV Gimnazjum Realnego im. Sienkiewicza w Krakowie w latach 1915—16, mówi, że już wtedy cechowały Tadeusza Komorowskiego duża odwaga osobista, przedsiębiorczość i odwaga



Tadeusz Bór-Komorowski

mych, w gronie kilku członków organizacji tajnej. Nagle w czasie obiadu nadeszła wiadomość o aresztowaniu przez Niemców szczególnie ważnych osób, których dotąd Gestapo nie mogło znaleźć. Świadek aresztowania opisywał w szczególności jednego z aresztowanych. Był to mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, z krótkim wąsem; prowadzili go przez ulice, okutego w kajdany, z łańcuchem na szyi, aby mu uniemożliwić ucieczkę.

Generał Bór wypyttywał spokojnie o różne szczegóły co do zachowania się i wyglądu tego człowieka oraz innych aresztowanych. Jednak ani z tonu tych pytań, ani z wyrazu twarzy pytającego nie można było wnioskować, dlaczego ta sprawa tak go interesuje. Po obiedzie wszyscy wstali od stołu, aby przejść na kawę do innego pokoju.

Po chwili przyszedł ktoś, kto musiał zobaczyć się z gen. Borem w pilnej sprawie. Rozmawiali na uboczu przytłumionym głosem. Wkrótce potem generał pożegnał się i wyszedł. Dopiero później obecni dowiedzieli się, że aresztowany został gen. Grot. Bór domyślił się tego natychmiast. Jako zastępca Grota, zajął jego miejsce.

Wyżsi dowódcy jednostek Armii Krajowej byli w stałym kontakcie z gen. Borem. Raz na miesiąc każdy z nich przyjeżdżał do Warszawy, meldował się u niego, poczem we wszystkich oddziałach Sztabu Głównego, gdzie przedstawiał potrzeby i braki w swoim okręgu działań, wreszcie przed wyjazdem — znów u generała, któremu meldował o sposobie załatwienia tych spraw.

Jeśli gen. Bór wzywał do siebie kogoś z innych oficerów, odbywało się to przy zachowaniu daleko idących ostrożności. Wezwany otrzymywał instrukcję mniej więcej takiej treści:

„Spotkanie nastąpi na pl. Krasińskich, po stronie kościoła garnizonowego. Będzie pan trzymał w ręce ostatni numer *Das Reich*, z którego ma wystawać różowa kartka. Podejdzie do pana kobieta, która zapyta: — Nie wie pan, gdzie jest ulica Koszykowa? Odpowie pan: — Nie, niestety nie wiem, ale powiedzą pani w najbliższym kiosku. — Wtedy ta kobieta powie: — To może pan pójdzie ze mną do tego kiosku? Uda się pan z nią dalej, tam, dokąd ona pana doprowadzi”.

Łącznik (lub łączniczka) przeprowadzał wezwanego do jakiegoś mieszkania — lub innej kwatery prywatnej, gdzie następowała dalsza indagacja lub, — jeśli wezwany był znany dobrze organizacji, — spotkanie z gen. Borem.

Zasadniczo prawdziwe nazwisko gen. Bora trzymane było w ścisłej tajemnicy. Znali je tylko niektórzy jego współpracownicy, bynajmniej nie wszyscy. Niektórzy z tych współ-

pracowników, m. in. szef jednego z wydziałów sztabu, oficer, który obecnie jest w Londynie, — przez cały czas swego pobytu w Polsce ani razu nie zetknął się osobiście z gen. Borem, choć wiedział o jego stanowisku i otrzymywał od niego rozkazy. Niemcy znali prawdziwe nazwisko generała i wszystkie jego pseudonimy; nie mogli tylko „dopasować” ani nazwiska, ani żadnego z pseudonimów do osoby. Utrzymanie tak ścisłej konspiracji wobec władz niemieckich w społeczeństwie z natury wielomównym, a nawet plotkarskim, jakim jest społeczeństwo polskie, było możliwe tylko dzięki powszechnej głębokiej nienawiści i pogardzie, które okazywano Niemcom. Polacy odgradzili się od okupantów ścianą pogardliwego milczenia. Jak dalece chroniło to ruch podziemny od wykrycia go przez Niemców, świadczy taki np. drobny fakt. Jeden z działaczy ruchu podziemnego, skompromitowany w Warszawie wobec Gestapo, przyjechał na wieś w pobliżu stolicy, aby tam ukryć się na pewien czas, dopóki organizacja nie zatrze po nim śladów. Wkrótce wszyscy mieszkańcy tej wsi wiedzieli, gdzie mieszka i że ma odbiornik radiowy. Do jego domu przychodziły pielgrzymki z całej okolicy po wiadomości z radia, lecz Niemcy nie dowiedzieli się o nim nigdy.

Rzecz prosta, że w samej organizacji konspiracji była ścisłajsza. Nawet istnienie gen. Bora okrywała tajemnica. Wszyscy czuli jego obecność, otrzymywali i wykonywali jego rozkazy, lecz nawet nie wymieniali jego pseudonimu między sobą. Mówiono: „Komenda Główna nakazała”, „Komenda Główna żąda...”, mając na myśli Bora.

Wszyscy ci, którzy stykali się z gen. Borem, zgodnie stwierdzają, że ma on opinię najzdolniejszego oficera i dowódcy w Kraju. Jest zupełnie apolityczny, całkowicie oddany sprawie wywalczenia niepodległości Polsce. Mimo tej apolitycznej postawy osobistej gen. Bór doskonale orientuje się w prądach i nastrojach politycznych społeczeństwa i potrafi współpracować z ugrupowaniami społecznymi w ich walce przeciw Niemcom oraz do tej walki je wciągnąć, bez względu na ich oblicze wewnętrzno-polityczne.

Równie ważną cechą gen. Bora jest jego umiejętność organizowania i prowadzenia pracy zespołowej. „Gen. Bór umie słuchać dobrych rad, a jedynym kryterium w wyborze współpracowników jest dla niego ich praca i wartość”, — mówi jeden z oficerów Armii Krajowej. — „Posiadając ich zupełne zaufanie, ufa im również w zupełności”.

W stosunkach osobistych uderza przede wszystkim prostota generała, ujmujące traktowanie przezeń każdego, bez różnicy i bez względu na zajmowane stanowisko. Gen. Bór

nie otrzymywał z tytułu swych funkcji żadnych specjalnych poborów i organiczował swoje wydatki do minimum, sam gotując sobie posiłki i nawet naprawiając swoją bieliznę. Mieszkał bardzo skromnie, bez rodziny, aby móc oddać się wyłącznie służbie. Narazony był na takie same niebezpieczeństwa, jak każdy z żołnierzy Armii Krajowej; chodził zawsze bez jakiegokolwiek eskorty.

Dr Rettinger, który poznał osobiście generała Bora podczas swego ostatniego pobytu w Polsce, tak opowiada o swych wrażeniach po pierwszym z nim spotkaniu:

„Jest to człowiek z wielką siłą decyzji, znający pracę i organizację Armii Krajowej do najdrobniejszych szczegółów. Ma dobre odczucie psychologii i ostrożnie ocenia wypadki i ludzi. Jest nadzwyczaj skromny. Z wielkim uznaniem wyraża się o gen. Sikorskim. Jest bardzo lojalny we współpracy z instytucjami cywilnymi Polski Podziemnej. Co sobotę spotykał się z Delegatem Rządu o godzinie 10.00 rano i pracowali razem, uzgadniając różne sprawy, aż do wyczerpania materiału. Zdarzały się przy tej pracy różnice zdań i dyskusje, lecz nigdy nie było nieporozumień lub animozji osobistych. Dlatego też gen. Bór posiadał pełne zaufanie Delegatury Rządu”.

Dr Rettinger poznał gen. Bora wkrótce po wcieleniu do Armii Krajowej organizacji wojskowej Stronnictwa Narodowego i widywał się z nim w czasie wcielania batalionów chłopskich. W tej pracy konsolidującej bardzo różnorodne elementy społeczne, o różnych programach politycznych — gen. Bór odznaczał się (zdaniem dra Rettingera) wielkim taktem i potrafił się zdobyć na uciechy, zdrowy kompromis dla dobra sprawy. Wszyscy mieli dla niego najwyższe uznanie, a autorytet jego był bardzo wysoki.

Podobnie mówi o generale Borze Tomasz Arciszewski, który poznał go osobiście w marcu r. b. na posiedzeniu Rady Jedności Narodowej w Polsce. W szczególności podkreśla, że generał Bór, — jakkolwiek zupełnie apolityczny, — szedł na rękę każdemu stronnictwu, które zgłaszało postulaty uczciwe i rozsądne. Gdy potrzebna była decyzja polityczna z jego strony, jako Dowódcy Armii Krajowej, — zasięgał rady rzeczoznawców, specjalnie mu przydzielonych.

Na posiedzeniu Rady Jedności Narodowej gen. Bór wygłosił exposé, które znanymi człowiekowi silnej woli, umiającego jednak korzystać z rad i pomocy innych. Podczas tego długiego przemówienia generał nie posługiwał się żadnymi notatkami: mówił z pamięci o sprawie bardzo ważnej, bo o konieczności współpracy z wojskami sowieckimi, a w związku z tym o ujawnianiu się oddziałów Armii Krajowej władzom sowieckim. Musiał też odpowiedzieć na drażliwe pytania co do ochrony przez Armię Krajową ludności i jej mienia na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Na podstawie tego exposé Rada Jedności Narodowej postanowiła, że nie można liczyć się z ofiarami, które musi pociągnąć za sobą walka na tyłach wojsk niemieckich i że należy przystąpić tam do jawnych działań Armii Krajowej, aby z jednej strony wykazać niewątpliwą polską Kresów Rzeczypospolitej, z drugiej zaś — lojalną pomoc dla nacierających armii rosyjskich. Postawa Armii Krajowej i ludności miała poza tym na celu stwierdzenie, że Polska nie uznaje aktu z dn. 17 września r. 1939, który rzekomo miał przesądzić o przynależności wschodnich połaci Polski do Związku Republik Sowieckich.

Była to tragiczna, lecz słuszną decyzja. Dowódcy oddziałów sowieckich nie kryli później zdziwienia, że na swej drodze spotykają wyłącznie pomoc ze strony Armii Krajowej, nie zaś organizacji komunistycznych, które spodziewali się tam zastać.

Innym posunięciem gen. Bora, uzgodnionym z Delegatem Rządu, było przeprowadzenie zasady, że dywersje i sabotaże w Polsce mają dotyczyć tylko najważniejszych obiektów niemieckich, np. wojskowych pociągów uropowych, transportów amunicji i broni oraz że zamachy na życie Niemców, urzędników, gestapowców i t. p. będą dotyczyły osobników, skazanych na śmierć przez sądy Rzeczypospolitej. Ta ostatnia zasada, stosowana także przeciwko zdrajcom — Volksdeutsche'om, którzy dopuszczali się zbrodni na Polakach, doprowadziła wielu urzędników niemieckich i Volksdeutsche'ów do panicznego strachu przed odpowiedzialnością wobec władzy podziemnej i jej egzekutywy. Ludzie ci starali się „dobrymi uczynkami” wyrobić sobie alibi u społeczeństwa polskiego.

Szczególnie charakterystyczna dla gen. Bora była depesza, którą nadano w Warszawie po zawieszeniu broni z Niemcami w dniu 3. października r. b.; depesza do radiotelegrafistów z podziękowaniem za rzetelną ich pracę. Gen. Bór wysłał ją jako jedną z ostatnich, wraz z pożegnalną depeszą do Prezydenta R.P. Jest to jeszcze jeden dowód, że umiał ocenić każdego, bez względu na jego stanowisko; że umiał zaskarbić sobie miłość i szacunek wielkich i małych.

ECHA ARTYKUŁÓW „W DRODZE”

— Nowojorski „Tygodnik Polski” z dn. 24 września 1944 r. p. t. „Poemat Broniewskiego” zamieszcza następującą notatkę:

„Ostatnio doszły nas z Palestyny numer pisma „W Drodze” (z dnia 16 lipca) przynosi wielką sensację poetycką — początek wielkiego, jak sam autor zapowiada, poematu Władysława Broniewskiego p. t. „Bania z poezją”. Poemat będzie ariostyczny jak „Kwiaty polskie” Tuwima, do których zbliża go wspólna Tuwimowi i Broniewskiemu puszkinowska strofa. Nie trudno jednak odróżnić dopatrzyć się zasadniczych różnic w postawie obu poetów — i niesposób nie zaliczyć już teraz do klejnotów polskiej poezji takich np. strof nowego poematu:

Piechoto, ty królowo broni,
rozstrzygać masz batalij los...
Wśród kłesk ty zabierasz głos,
kiedy o bagnet bagnet dzwoni,
gdy już nie chodzi o zwycięstwo,
lecz o to, żeby zimne męstwo
przez krew tworzyło żywy mit,
że „Jeszcze Polska nie zginęła”,
że naród walczy o swój byt,
a walka, gdy się raz zaczęła,
to w nocy kłesk zwycięstwa świt.
Piechoto... Dudni krok miarowy,
bagnetów ostrza w słoncu lśnią.
Na polach walk strzeleckie rowy
już jutro zlejesz świeżą krwią
i przyjdzie moc nieprzyjacielska,
przepelną jej stalowe cielska,
żeby cię miazdżyć, łamać, kłaść,
piechoto, będziesz stać do końca
i w chwale wrześniowego słonca
będziesz umiała dumnie paść...

W tym samym numerze „Tygodnika Polskiego” ukazała się notatka, omawiająca artykuł Zdzisława Broncia „Sto książek polskich”, zamieszczony w nrze 14 (32) z dn. 16 lipca 1944 r. „W Drodze”.

— W hebrajskim tygodniku polityczno-literackim „Hed Jerusalam” z dn. 3 listopada w artykule p. t. „Przekłady hebrajskie z literatury polskiej” czytamy co następuje:

„Ukazujący się w Jerozolimie doskonale redagowany dwutygodnik literacko-polityczny „W Drodze” zamieszcza w swoim ostatnim numerze (z 1 listopada b. r.) wyczerpujący szkic o przekładach hebrajskich z dziedziny literatury polskiej.

Serie przekładów rozpoczyna Jehuda Klaczko, późniejszy Julian Klaczko, który odegrał tak wybitną rolę w literaturze polskiej. Ostatnią zaś pozycją w tym zakresie jest przekład słynnego poematu Adama Mickiewicza „Konrad Wallenrod”, dokonany przez Szlomo Skulskiego. Autor artykułu kreśli szczegółowo obraz działalności wydawniczej A. J. Szybły w dziedzinie przekładów z literatury światowej, z szczególnym uwzględnieniem twórczości polskiej (nakładem Szybły ukazały się między innymi w przekładach hebrajskich utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Sienkiewicza, Żuławskiego i t. d.). Zarazem autor daje przegląd przekładów hebrajskich z zakresu nowej liryki polskiej. Warto przy okazji zaznaczyć, iż dwutygodnik „W Drodze” przygotowuje obecnie numer specjalny poświęcony w całości Palestynie”.

W dzienniku hebrajskim „Haboker” z dn. 16 listopada ukazała się p. t. „Od Klaczki do Skulskiego” następująca notatka:

„W związku z pojawieniem się pełnego przekładu hebrajskiego poematu historycznego Adama Mickiewicza „Konrad Wallenrod” (tłumaczył Sz. Skulski), ukazał się w wychodzącym w Jerozolimie dwutygodniku polskim „W Drodze” artykuł „Od Klaczki do Skulskiego”, dający szczegółowy przegląd przekładów hebrajskich z dziedziny literatury polskiej, jakie pojawiły się poczynając od epoki Oświecenia. Poczet tłumaczy hebrajskich rozpoczyna młody poeta wileński Jehuda Klaczko, który przełożył mickiewiczowskiego „Faryasa” i kilka innych utworów wieszcza. Jak wiadomo, Klaczko przeszedł na katolicyzm i stał się wybitnym pisarzem i krytykiem polsko-katolickim. Autor artykułu opowiada czytelnikom polskim dzieje wydawnictwa Szybły, które, jak wiadomo, poświęciło szczególną uwagę przekładom najcenniejszych utworów starszej i nowszej literatury polskiej („Pan Tadeusz” Mickiewicza, „Irydion” Krasińskiego, większość dzieł Sienkiewicza, „Chłopi” Reymonta, „Wesele” Wyspiańskiego i t. d.) — oraz wspomina również przekłady, jakie pojawiły się w Palestynie z dziedziny nowszej liryki polskiej (przekłady B. Tenenbauma, P. Landera, D. Stocka, A. Lewinsona). Wreszcie daje autor ocenę nowego przekładu „Konrada Wallenroda” pióra Sz. Skulskiego.

— Francuski dziennik bejrucki „L'Orient” przedrukował w numerach z dn. 12, 13 i 14 maja p. t. „La propagande allemande dans le Moyen Orient avant 1919” artykuł Abrahama Adlera, ogłoszony w numerze 7 (25) „W Drodze”.

czynna. Jako młody chłopiec, nie miał późniejszy Wódz Naczelny skłonności do kontemplacji i refleksji. Uspokojenie miał żywe, uczył się średnio, przekładając nauki ścisłe nad przedmioty humanistyczne. Odnaczał się zawsze wielkim patriotyzmem. Można było na niego liczyć: był dobrym kolegą, nigdy nikogo nie zawiódł, postępował otwarcie i szczerze, co przy ujmującej powierzchowności i miłym sposobie bycia zjednywało mu przyjaźń kolegów.

Mimo tych wszystkich zalet osobistych i mimo otaczającej go sympatii, ani żadnemu z kolegów, ani jemu samemu zapewne nie mogło wówczas przyjść do głowy, że kiedyś zostanie polskim Wodzem Naczelny...

Pewien oficer artylerii konnej, który zetknął się z gen. Borem podczas kampanii wrześniowej w Polsce w r. 1939, opowiada o drobnym, lecz charakterystycznym wypadku.

Wróciwszy z rozpoznania przeprawy na Wiśle, której broniły nasze oddziały, oficer ten zastał w dowództwie nastroj wielkiego zaniepokojenia i zamieszania z powodu wiadomości i pogłosek o przeniknięciu czołgów niemieckich na tyły stanowisk polskich. Dowódcy niektórych oddziałów domagali się, by gen. Bór zarządził odwrot, lub co najmniej wydzielił część swoich sił do przeciwnatarcia na owe czołgi. On jednak opierał się temu stanowczo do czasu przybycia patrolu rozpoznawczego. Oficer, dowodzący patroliem, stwierdził, że obrona przeprawy trzyma się dobrze i że nigdzie nie spotkał się nawet z pogłoskami o obecności nieprzyjaciela po prawej stronie Wisły. Ten spokój i rozważna decyzja gen. Bora okazały się zbawienne: fałszywe pogłoski bowiem rozsiewali członkowie V kolumny właśnie w celu rozproszenia oddziałów polskich na krótko przed silnym natarciem niemieckim na przeprawę. Natarcie to odparto w ciągu nocy.

W roku 1943 gen. Bór, będąc zastępcą ówczesnego Dowódcy Armii Krajowej, gen. Grota, został zaproszony na obiad do znajo-

ROZDZIAŁ I

Brama skrzypnęła i Nasielski wyszedł przed dom, ciągnąc za sobą gumowego węża. Było bardzo wcześnie i świeżo, ale niebo za-powiadało dzień gorący. Przyfaszawszy węża do hydrantu, Nasielski zapalił papierosa. Przed odłączeniem kurek zawsze tak lubił ranną porę postawić na chodniku i popatrzyć. Nauczył się tego jeszcze w czasie, kiedy Dworzec Główny nazywał się „foksałem”, kiedy Aleje Wybrukowane były kociami i bami, i wyjścia z peronów nie uświadczyłbyś ani jednej takśkowi, natomiast na rogu Marszałkowskiej stał Rusek, zwany rewirowym. Papierosy, które Nasielski palił wtedy, były pierwsze w życiu. Miał lat około dwadziestu, dopiero co był nastąp za wsi za pomocnika stróża i patrzeć na Warszawę chciało mu się od samego świtu. Najpierw, bladym rankiem, jechały dryndy ze spuszczonej budami, ale i tak widać były falbany jedwabnych halek, kłapię spód spódnice na lakierowane trzewiki facetów. Później zaczęły ciągnąć furgonki do hal... z wazywami, z drobiem, z mleczewym. Babiny, jak szmanciane tobołki, nieforemne, kiwały się na kozłach obok swoich chłopów. Jeszcze później, u św. Barbary na Koszykach dzwonił na Prymarie i nabożne kucharki z różnicami wybiegały z bram. Na Woli gwizdały fabryki, robotarze szli, szurając nogami, niosąc blaszanki i kawę. O siódmej trzydziestej przychodził kurier z Wiednia. Tragarze w granatowych bluzach zszli z balustrad u podjazdu, gdzie drzemali od półnoka, i znikali w głębi foksału. Po chwili do dwukonnych dorozek na gumach wsładali podróżni z plecakami; nieraz dama z bukietem róż czekała na takiego, — kurier z Wiednia był pociągami bogatych.

Działo się to bardzo dawno, przed pierwszą wojną światową. Nasielski wcale nie myślał wówczas, że wszystko jest dobrze na świecie i w Warszawie. Jego szwagier, metalowiec od Rudzkiego, podczas socjalistycznej demonstracji pał 1-go maja od kuli rosyjskiego żandarma. Tak... w Warszawie nie było wolności, bo obcy rząd panował nad Polakami. Ale wydawany konspiracyjnie „Robotnik” drukował komunikaty 2-giej Międzynarodówki, z których wynikało, że i w niepodległych krajach trwał ucisk. We Francji, w Belgii, w Wielkiej Brytanii przywódcy ludu pracującego krzyczeli na swoje własne rządy, a w Rosji socjałdemokraci gnili w swoim własnym Sybirze. Nasielski to wiedział i bardzo wesoło nie powiarył myśl wzbogacenia się. Tylko bogatym zawsze i wszędzie jest dobrze, — mówił, Dłatego, kiedy pierwsza wojna światowa wybuchła, nie poszedł do legionów Piłsudskiego, bo się o niepodległość Polski, natomiast wziął się do paska. Światnie ma sżo, bo stój-kom w Warszawie przedko stracili ducha i tylko patrzyli, jak przedje wiad do Matuzsk-Rasiej; później — kiedy przyszli Niemcy, — powstała milicja miejska, i znouwu był straszny bałagan. Nasielski od masta i jaj przeniknął znowa do towarów świątecznych. Obspra-wił się jak król, układał ze sto złotych rubli, odkupił stróżostwo od swego pana, stał rego Kocki, wreszcie posłubił przystojną siostrę cównę, pannę Lodzie... Dopiero kiedy prawił Polska nastąpiła i zrobiti policje, Nasielski mał w kryminalne nie osiadł. Zaczęli do-kucać papierkami, rewizjami, karami... In-teres przestał się opłacać. Trzeba było ciępa honor znów upatrywać w miotle.

W tym czasie Nasielski serdecznie Polski nienawidził. Tylko Warszawę lubił po dawnemu. Nawet — kto wie — może więcej, niż za Ruska. Bo przed wojną, kiedy się rankiem otwarc brame, widoki, owsem, byływo pieszne, ale zawsze mniej więcej te same. „Wybuchła niepodległość” kiedyś dnia mogło się spodziewać się nowiny. Raz ułani przejeżdżali konno, śpiewając na cze gardo pieśni, za które parę lat temu sżo się do wienienia, raz toczyły się amerykańskie furgony z różnym dobrem szpitalnym, raz samochód pedził z tabliczką R (znaczy — Rząd), to jakieś rozporządzenia „posterunkowi” rozlepiali na parkanach, robotnicy miejscy coś burzyli, coś przemalowali, furmani ceży zwozili, murarze budowy zaczynali... Foksal, nazwany Dworcem, zmienił się co parę dni. Pociągi przychodzili to na taki peron, to na inny, jedne kasy zamknięto, drugie otwierano, ruch na tej linii nie wróży nic dobrego. Radzę wam przeczekać choć dzień. Przepustki i tak macie na trzy dni.

— Po co mamy czekać?! — krzyknęła Zuzia. — Właśnie z powodu przepustek teraz jest bezpiecznie. Kiedyś przecież musimy pojechać do Rudzina, to jest nasz obowiązek wobec Zofii. Zresztą ja chcę tam zobaczyć w Zielone Świątki! A jak chcę Zofii napisać, że jej dom po dawnemu jest piękny i że Zielone Świątki po dawnemu są piękne.

— Ach, chcesz. I zawsze mówisz za innych. Czy Kira też uważa to za swój obowiązek?

Kira uniosła ciemne rzęsy na powolnych oczach.

Tak. Jak też uważam.

Jej głos był niski, znaczący więcej niż słowa. A jej uroda była prawie niewidoczna na pierwszy rzut oka, później — nagł — oczywista i niezapomniana.

Doktorowa sięgnęła po grzebiń i rzuciła go.

— Więć doskonale. Jedźcie, spełniając wasz obowiązek, piszcie do niej, uwielbiając ją, narażając siebie i innych, tylko trzeba pamiętać, że byłoby lepiej, gdyby Kira nie była spotkała Marka Gaettani w tym jej „pięknym”

sariacie zasmakował, odkąd komisarz nazwał go „panem dozorcą”. Przynać też musiał, że łatwiej mu szły meldunki po swojemu, niż po rusku. Wkrótce zbierał wcale pokazy zasób wiadomości. Dowiedział się np., gdzie mieszka Minister Spraw Wewnętrznych. Gdzie będzie defilada na Święto Niepodległości. Jakiego koloru musowka — będą wszystkie takśkowi od pierwszego. Co tow. Dawydaszki powiadział w Sejmie o piątnych urlopach dla „pracowni-ków fizycznych”. Ani się pani Lodzia Nasielska obejrzała, jak jej mąż wyrósł na prezesa długiach posiedzeń podwórkowych. Jej rodzony brat, elektrotechnik, przychodził aż z drugiej ulicy na te posiedzenia, gdzie wieczór w wie-czór odchodziła polityka. Brat Antos był na-rodowcem, a znów Nasielski, przez pamięć tego szwagra, co go Ruscy 1-go maja zabili, okazał się być socjalistą. Sadił też cholera! na kapitła i imperializm. Kiedy powstał Związek Dozorczych, Nasielski, znany już wtenczas wśród dzielnikowskich polityków, stał się wreszcie c z y m i s ó b: obrabując skarbonkiem. A jeszcze później dzieł posad do szkie Stasiak należał do Przysposobienia Wojskowego, Hali-koże! kolanek raz wydelegowały, żeby witała wierszem Pana Inspektora.

Lata płynęły. Nasielski, zajęty kłag Związku, coraz mniej politykował, coraz więcej płać składek na F.O.N. i na L.O.P.P. i okropnie dumny był z Gdyni. Kiedy wiosną 39-roku wybuchy niepokoję wojenne, krzyknął na Lodzie, nasadził czapkę na żeb i po-szedł grube złote obrączki — żup poprzedniej wojny — wymienić na żelazne.

Tak nadszedł wrzesień. Teraz, w roku 1943, pierwszego dnia Zielonych Świąt, Nasielski stał rankiem przed bramą i medytował nad tym, w co się obróciły jego życie,si, ulokowane w F.O.N. i w L.O.P.P. Chociaż, jak kiedyś, za Ruska, ciągnął na chodnik gumowego węża, bo Zarząd Miejski znów trotuarów nie polewał. Związek Dozorczych przepadł razem z Polską. Ani F.O.N., ani L.O.P.P. nie potrafiły go obronić. W Gdyni, gdzie generał Haller zarażał się z morzem, syn Stasiak leży w piasku głęboko, taki przystojny, młody podchorąży... Haling Moskwa, że Lwowa wywiezi. A Dworzec, co go tyle lat Polska budowała, aż mial wreszcie kiedyś Europe marmurami i malowidłami za-dziwili, Niemcy w trymiga wywieźli. Tylko, że na pysznych poczekalniach widać!o *Nur für Deutsche*, — dla Polaków była stajnia, jak dla bydła, pedżonego na rzeź.

Nasielski splunął, przekręcił kurek i uderzył w dło chodnik z taką siłą, że strumień rozprysnął się i oblał mu twarz. Po chwili śmieci zaczęły spływać do ścieku: niedopałki, bilety tramwajowe, jakieś zesztorcone gażki, strzępy niemieckich gazet i świecące liście, które wichura obdarła z młodych li. Nasielski poganiał je biczykiem wody dalej, da-lej w stronę rynsztoka.

— Leć liście z drzewa, co wyrosło wolne... Na mogile śpiewa Jakiego ptaszka poe...

przypomniała mu się piosenka, którą chóś śpiewał na popisie naturalnym w gimnazjum Staśka. Położył węża na chodniku, — niech woda sama robi swoje. Westchnął. Wtedy do-baczyl nadchodzące od Marszałkowskiej ku-zy, doktorowej z parteru.

— Szy, szybko, niosąc mase walizki. Były młode, ładne, a młodsza bardzo wesoła. Nie-bawem stanęła obok niego, „Dzien dobry, pa-nie Nasielski!”, powiedziała ta młodsza. „Dzien dobry, dzien dobry” — odpowiedział i rad byłby, żeby już znikła w bramie. Chodziła ona po świecie o bardzo dziwnych porach, jak gdyby ani czas, ani mężczyźni nie mogli jej nic zrobić. Nasielski rozumiał, za czym tak chodziła, i żał mu było, że te blyszczące oczy, ten głos, taki jeszcze dziecinny, mogą kóre-gos dnia napotkają śmierć na swoich drogach. Tatarak od pieszczania pan ma? — zapytała. Wzruszył ramionami. „A ja będę dziś miała i będę piskaczka”. Z tym w końcu poszły sobie do korytarza.

Nasielski spojrzął na zegarek. Była go-dzina 6.30. „Wcześniej zaczynają świętować”, — mruknął.

— Więć dobre, moje złoto, — mówiła doktorowa, wiążąc szlafrok, chciało się wam wczoraj od razu latać do Gestapo po przepustki, to jedźcie. Ale ograniczenie ruchu na tej linii nie wróży nic dobrego. Radzę wam przeczekać choć dzień. Przepustki i tak macie na trzy dni.

— Po co mamy czekać?! — krzyknęła Zuzia. — Właśnie z powodu przepustek teraz jest bezpiecznie. Kiedyś przecież musimy pojechać do Rudzina, to jest nasz obowiązek wobec Zofii. Zresztą ja chcę tam zobaczyć w Zielone Świątki! A jak chcę Zofii napisać, że jej dom po dawnemu jest piękny i że Zielone Świątki po dawnemu są piękne.

— Ach, chcesz. I zawsze mówisz za in-nych. Czy Kira też uważa to za swój obowięzek?

Kira uniosła ciemne rzęsy na powolnych oczach.

Tak. Jak też uważam.

Jej głos był niski, znaczący więcej niż słowa. A jej uroda była prawie niewidoczna na pierwszy rzut oka, później — nagł — o-czywista i niezapomniana.

Doktorowa sięgnęła po grzebiń i rzuciła go.

— Więć doskonale. Jedźcie, spełniając wasz obowiązek, piszcie do niej, uwielbiając ją, narażając siebie i innych, tylko trzeba pamiętać, że byłoby lepiej, gdyby Kira nie była spotkała Marka Gaettani w tym jej „pięknym”

MARIA KUNCEWICZOWA

— Ty ciągle, ciągle nie cierpisz Zofii, — gorączkowała się Zuzia, — przecież ona jest tak samo twoją ciotką, jak i nasza. I przecież straciła wszystko! Tuja się gdzieś... Na pewno cierpi okropnie!

Cierpienia Zofii... Ona zawsze „cier-piała okropnie”. Jej zawsze żyły spływały po policzkach, kiedy śpiewała np. *La mort est une amie*... W tym sekret jej kariery. Więc teraz gdzieś tam płacze sobie i śpiewa, i forse ma, i jest jej bardzo dobrze.

— Jak może jej być dobrze? Ona ubóstwiała swój dom! I ogród! I Polskę! — Ubóstwiała, mieszkając na kałczygu. Nigdy nie miała najlżejszego pojęcia, ile np. wynoszą podatki od domu. Czy dale mogą ży-mować w gruncie. Co znaczy palta kolumna. Szastała pieniędzmi, przyjmowała obieżywiał-ty... I zawsze ktoś za nią myślał o realnych rzeczach. Więc cóż się zmieniło? Za granicą dalej mieszka na kałczygu.

— Ależ nie jest już młoda! — Zuzia za-każa miała. — I jest wojna. Nie wiem, czy jej tak łatwo teraz o przyjaciół, jak dawniej.

Oczy doktorowej ściemniały. O n a b yła jeszcze młoda. Ale żadni przyjaciele, ani daw-niej, ani dziś, nie troszczyli się, w jaki sposób wykształcił małego syna, którego ojciec ob-umiał tak wcześnie, nie zostawiając majątku. Wszyscy, owsem, przychodzili po rady, jak żyć, żeby utrzymać się na poziomie, a jednak nie obciążać sumienia zbyt świńskimi grze-chami. Przychodzili i odchodzili. Nikt nie chciał za nią zgłębiać tych spraw, od których zmarszczyć pełzną po twarzy i cienie po każ-dym dniu. I te oto młode kuzynki, sieroty kompletniejsze niż jej syn, niejedną godzinę wojenną spędziły u niej, jedząc, kiedy były głodne, mówiąc, kiedy nikt inny słuchał nie mógł, depcząc sąsiadom po nogach, a chłopak kilkunastoletni w za krótkiej kurtce gwizdał.

Zuzia, po raz nie wiedział który, powtarzała w myśli: „Jadę do Rudzina, jadę do Rudzina, jest święto, nie mam żadnego zadania”. Po chwili zaś: „Nikt mnie nie obserwuje. Proszek od migranta mam w lewym rękawie. Wyska-mała mała, a ile on miał guzików przed przy-pa-kiem? „Nagle przeraża się, że widać, wie nie pamięta, jaki ten Rudzin jest. Czy umiałaby narysować dom Zofii w stosunku do szosy, rzeki, do kolei? Czy wie chociażby do-kladnie, o ile kilometrów stamtąd jest las? Na weseł, czy na zachód od parku? Cóż ona wie o Rudzinie? Tylko tyle, że tam było kie-dyś pięknie, najczulej, najszczęśliwiej? Jak we śnie. Więć może Rudzin u odlegie nigdy nie przyniósł? Może one jadą do miejsca, które się przyniósł? Serce Zuzi, obejmujące zbyt wiele naraz rzeczy, ustawiało się wzdłuż, przy-wołując ciągłym rozumowaniem na niby, nie-łatwo już granice rzeczywistości dostrzegał. Ależ tak! Na pewno! Rudzin jest smutny, coś w niej krzyknęło. — Na jawie przecież nie rosną takie drzewa: pień, rozszczepiony w ga-rze na dwa różnogatunkowe konary; pół sos-na, pół dąb. Takie właśnie drzewo Zuzia wid-ziała, kiedy przyjechała z zamieszania.

Więć, Brysiu kochana, właściwie zga-dzasz się z tym, że musimy pojechać do Ru-dzina. A gdyby się coś stało, to te moja wa-lizeczka oddasz, komu należy...

Wstąpił obie pospiesznie, doktorowa od-wrociła się do lustra.

— Oddam. I wiem, że Zuzia po to pyta ludzi o zdanie, żeby zrobić na opak. Ale ty, Kira, powinnaś być mądrzejsza.

Kira patrzyła w okno, wysoka i wiotka, kołysząc się na urojonym wietrze.

— Dłatego? — spytała bez zapału. — Dłatego, że siedziałam w więzieniu? Właśnie dłatego chce jechać.

Doktorowa zrobiła gwałtowny ruch gło-wy: jej twarz i jej gniew znikły za jasnymi włosami.

ROZDZIAŁ II

Kiedy latem 1940 roku Kira wróciła z Wiednia, tak wyędmniała, bez wall, bez ka-pelusza i bez jednego uśmiechu, Zuzia zaraz jej znalazła bardzo przyjemny pokój u miłych ludzi. Były tam obrazy i stare biurko jeseno-we, książki i kwiatki. Gospodarcom nikogo bliższego jeszcze wówczas nie zabito, byli spo-kojni, a także zamożniejsi od wielu. W tym domu naprawdę, jeśli się nie wyglądało przez okno, można było zachować złudzenia. Zuzia z tryumfem pchnęła drzwi przed Kirą, pusz-czając je przodem i czekając na okrzyk: „Jaki śliczny pokój!” Tymczasem Kira poszła prosto do okna i usiadła tam sztywno na brzegu krzeszka. Na szczęście nie patrzyła na roz-walone kamienie, tylko gdzieś nad dachami w przestrzeń. Po kilku miesiącach Zuzia za-pragnała jednak, żeby Kira zauważyła cho-ciaż te ruiny. I stało się tak. Któręś dnia o zmierzchu Kira zapytała: „Co to było tam naprzeciwko, — hotel, szkoła, bank?” Od tamtej pory zaczęła mówić żywiej i starsza się o pracę. Wkrótce przybyło jej pierwsze kilo-wagi. Ale, rozmawiając, lubiła nadal patrzeć w szyby.

W pociągu patrzyła tak już przeszło go-dzinę, ku zgryzocie Zuzi. A nawet, kiedy Czarni sprawdzali przepustki, nie potrafiła wytrzymać bez odwracania głowy, co mogło wyzwać podejrzania. Zuzie myczyło to stra-sznie, bo i tak musiała na tyle rzeczy uważać. Przede wszystkim pamiętała mnóstwo imion, cyfr, adresów, cale zdania wykute, jak pa-cierz, które jutro lub pojutrze znów staną się

aktualne. Poza tym, broń Boże, nie pa-miętałać tego wszystkiego, czego wiedzieć nie wolno; co trzeba najkompletniej, najabso-lutniej usunąć z górnych piętér świadomości, utopić w sobie głęboko, żeby nie dało się wy-szarpać nawet razem z życiem. Zuzia tak była zajęta utrzymywaniem w hermetycznym zam-knięciu tego swego dobra, — dziesiątków cu-dzych spraw, które w niej zamieszkaly, wy-gnane z jawnych miejsc, — że na świat za-wnętrzny nie starczyło siły. Związka, jeśli sytuacja, jak np. w podróży, wymagała szcze-gólnej czujności, Zuzia traciła związek ze światem. Niczym niemola, leciała przez ży-woty, zamknięta w sobie, wprost do własnego celu. Świat wszakże nie zgadzał się na obojęt-ności młodych. Chmury, światło słoneczne i księżycowe, zapachy dymu czy lip, głosy przy-jazne i wrogie, to wszystko oblegało mania-ków celowości, natarczywie uderzało ich zmysły, budziło wspomnienia i przeczuca.

Wydawała się maligna... Lipy pachniały dy-mem, koniny lipami, słońce przerażało, wiatr dzwiał, najwspanialsze gesty ludzi śmie-zyły, dzień robił się absurdalny, jak rozsy-pana łamięgułka. Tak właśnie beensu robił się on dla Zuzi za oknem, w które Kira pa-trzyła, mrużąc drugimi rzęsami.

ZMOWA NIEOBEWYCH

POWIEŚĆ

CZĘŚĆ I

razie niech się nie pęta, bo ścisł się za wiel-ki”. Ale dziewczynkę, widać, nie łatwo było umiejscowić; wyraźnie nurkowała dalej po przedziach, słychać było nawet, że coś wy-krzykuje cieniutko i natrętnie. Ludzie zaczęli się gniewać. Tylko jedna kobieta wołała: „Chodź tu do mnie, dziecinko, tatús się znaj-dzie na następnej stacji”. Zuzie, rozradowanej po zdarzeniu z drzewem, bawilo teraz wszyst-ko. Rozglądała się po sąsiadach, upatrując uśmiechów i ewentualnego „tatusia”. Podróż na przesytki, z twarzą, zasłoniętą ka-pe-zuszą, na słowa „tatús się znajdzie” dręknął jak gdyby. „Proszę pana, tu jakieś dziecko ojca szuka”, — dotknęła lekko jego kolan. Poruszył się i zaśmiał, ale kapelusze z jednego oka tylko zsunął. „Jestem kawalerem”, — mruknął. Tymczasem w przejściu z korytarza do przedziału powstał zamęt i z gęstwą do-rostych nóg wyrzuciły się raptem dziewczyn-ka. Jasnowka, za chudą i grymasną twarzą podmiejskiego łazęgi. Spocoma grzywa spada-ła jej na nos. Trzęsnęła nią i obwieściła krzykliwe: „Tatusia zgubiłam!” Kobięca z tobelem na plecach przyskoczyła ją. „Cicho!” Zgubiłaś, to i znalaziesz. Czy tatús do tego samego, wagonu wsiadł?” Ale dziecko w awan-egzasperacji nie zdawało się rozumieć pytań. „Tatusia zgubiłam!” — z maniekim uporem krzyknęła znów, zabierając się do odwrotu. Tymczasem podróżny kawaler jak gdyby się rozbuździł. „W jakim palcie tatús był?” — spytał niegłośno. I to słowa, nie wiadomo czemu, — znalazły wreszcie drogę do świadom-ości dziewczynki. Jej pracownice łokiec znie-ruchomiały, odwróciła się w stronę pana z ka-peluszem; znacznie ciszej niż przed tym, bar-dzo poważnie wyrzekła: „W szarym palcie”. Pan również spoważniał. „Czekaj, czekaj, moją małą, a ile on miał guzików przed przy-pa-kiem?” Dziewczynka wybiegła szczie. Z nos-kiem, zastraszonym z przejęcia, szepnęła: „Szczęś sztuk”. Nieznajomy poprawił się na siedzeniu. „E, to ja go widziałem, — powie-dział, — jakem w Woli przez okno wyglądał. Wielgachne takie rogowe guziki, sześć sztuk w dwa rzędy... On wsiadł bliżej lokomotywy”. Dziewczynka, zbyt widać zmęczona, by się cieszyć, siaknęła tylko nosem. Nieznajomy po-prawił kapelusza, zapuścił ramię pod ławkę, wyciągnął stamtąd pakunek; wstając, oświad-czył: „Pójde z tobą. Razem łatwiej znajdziemy”. „Jili, panie, zaprotektowały babiny, — gdzie się pan teraz będzie przyspychał? Jeszcze pan Czarnego nagle”. „Ta z tobelem złapała dziewczynkę w pół. Ale dziecko wyżłisnęło się, chwytając dłoń nieznajomego. Chłopak w za krótkich rękawach zdążył u-siąść już na jego miejscu. „Co się pani wtrą-ca? — burknął. — Tera takie czasy, że każden niech swojego nosa pilnuje”. Wszyscy zamilk-li; bezruch i cisza trwały czas jakiś. „Czyby już Rudzin? Pociąg znów zwalnia!” — zdziwiła się Kira. I wtedy nieznajomy z dziewczynką gwałtownie ruszył przed się. Pierśią, ramio-nami, rozgniatł ciżbę na korytarzu. „Zuzia wyjrzała przez okno. Nie, to nie był Rudzin, ale to były lasy, przez które zależeł się drogę do Rudzina. Tęm falował, poruszony przez nieznajomego, ktoś wołał: „O, znalazł się dro-gocenny tatús...” Zuzia raptem stanęła na równe nogi.

„Wyskakuję się z biegiem pociągu”, — błysnęło jej w mózgu. Pociągnęła Kirą za ręk-awk, głośno, wesoło powiedziała: „Możliwie, że tu się pociąg zatrzyma, bo tu był dawniej przystanek. Dla nas stąd właśnie najbliżej”. Ludzie podopodni głowy, patrzyli teo na panny; tymczasem one już stały przy drzwiach zewnętrznych. Zuzia z ręką na kłame. Po-ciąg istotnie hamował ze zgrzytem... Nasyp był niewysoki, niżej — rów, pełen kaczeków; między torem a lasem 50-metrowy pas karto-fiska. Zuzia pchnęła drzwi, zeszła na stopień, skoczyła. Kira za nią... Jednocześnie w kory-tarzu podniósł się krzyk: „Co pan robi? Trzy-mać dzieciaka! Puśćcie ją, do cholery!” Ktoś trzasnął drzwiami, pociąg się szarpnął, wy-dmuchał kłbi dymu, — popędził dalej.

Zuzia, z twarzą w trawie, leżała jakiś czas na dnio rowu. Po chwili uniosła się. Kira była przy niej. „Zwignęłaś nogę?” Zgięła nogi. „Nie złego nie czuję”. „Ja nawet nie upad-łam, pociąg szedł bardzo wolno”. Mówiły szeptem. Kira stanęła pierwsza na krawędzi rowu. „Zuziu, patrz!” O jakie dziesięć metrów przed nimi, w stronę Rudzina, przez tor prze-pelzał właśnie ów nieznajomy z kąta przedzia-łu. Za nim zwołała się dziewczynka. Zuzia położyła palec na ustach, zbiegły znów na dno. Niebawem usłyszały plusk... podróży wydłagały w bajoru. Dziecko gadało po ci-chu, głowy trzymały przy ziemi, wspięli się na czworakach, taseczkę paczkę na drugą stronę rowu. Kilka minut minęło w napięciu; wreszcie wyprostowały się i przez kartofliko podążyły do lasu.

Las, na szczęście, ciągle jeszcze był gę-sty w tym odcinku. Zapuścizwy się między drzewa, otrząpali suknie. „Nie nie widać. Tamci też już w lesie”. Zawrócili i poszły w stronę drogi, do której nadspodziewanie

szybko dotarły. U wylotu jej na tor bieleł kamień z czarną cyfrą 6 k.m. Zuzia chwy-ciła Kirę za rękę. „Widzisz?” — „Ze co?” — „S z e ś ć guzików znaczyło, że pociąg zwolni na szóstym kilometrze. Rozumiesz?” Z wra-żenia siadły przy drodze. Milczały jakiś czas ze ściągniętymi brwiami. W końcu Kira spy-tała: „Dłatego właściwie postanowiłaś wy-skoczyć? Czy tylko dlatego, że stał bliżej?” Młodsza w oślnieniu korysała głową. „O, nie... Sama nie wiem... Czulałam przez skórę, że to dziecko kogoś ma przetrzeć... I że ten w ka-peluszu coś ma spełnić... Wiedziałam też, że lepiej wyskoczyć”. Sosny szumiły, jedna ga-łąź, wysunięta w szeregu, powolnymi ruchami sunęła się po niebie w tył i w przód, jak zielone, puszyste wahadło. Pachniało żywica, mrowki z uporem niosły swoje maleńkie krzy-że na swoje spikie kalwarie. „Ach, — we-szcznęła jedna, — dokąd on popęził, ten człowiek? Co taszczył w tej paczce? Czemu zabrał to dziecko?” Druga ze spuszczoną głę od oddali: „Takie jest dziecko Niny” — powiedział. Odeszli, połączeni w jedno.

— Zuzia, — mówiła Kira, — poprowadź cię przez ten las na przelań. A przy okazji spojrz na polankę, gdzie powinien teraz kwit-nąć białe storczyki. Bardzo lubiam wtenczas te polanki.

ROZDZIAŁ III

Szy szybko po cieplej, piaszczystej dro-dze. Była 11 rano, miały przed sobą do Rudzina zaledwie kilka kilometrów, jednak spieszłyby bardzo. Od chwili, kiedy w dzień pierwszej wili wojennej matka umarła w zim-ny, cudzym pokoju, za pustym stołem, na którym leżał szkieł, opłatek i list z wiadomo-ścią, że Krzysztof zginął, nikt na nie w święta nie czekał. Jeśli mimo to od kilku lat nigdy nie przestawiały śpieszyć, to dlatego, że same czekać nie mogły. Nie mogły przecież poru-szać się wolno, albo zgoła spocząć, w czasie który nie był ich. W który je wtrącono jak w przepaść, pełną gadów. Śpieszyły więc — przez obcy czas — do nieobecnych. Kira do Marka, Zuzia do Karola, obie — do Zofii. O to tylko tamci przybywali w czasie znajomym, z którego one wypadły, ale wrócić doń może, jeśli drogą straconą nadrobią.

Kira szła pierwsza. Jakże często brodziła z Markiem po tym lesie. Najczęściej zdążała nad strumień między buki. Od tego też stru-mienia zaczęła się pielgrzymka miłości. Sie-dzieli raz na wozgórzu, uszanym macierzanką, słuchali jak woda płynie, — płasko, skłiszcio-ś. Rzucał szyszkami do wiewiórek. Kira miała od podwieczorku kropkę miodu na ustach, ko-rej broniła od niego. Nie pragnęli jeszcze mo-cować się ze sobą, zadawać sobie ból, odnosić zwycięstw, godzić się na zniewagę. Czuli swoją obecność dobrośliwie, jak obecność drzew, słuchali swoich głosów z tym samym upo-dobaniem, co dzieciaka. Ale o pewnym czasie Kira spostrzegła, że powiatki, które prawiła, leżące na wznak i gzyzając jakże chrupką to-dyżkę, były jej historią. I że ta historia zo-stała opowiedziana nie wiewiórkom i dziecio-łom, tylko Markowi. Markowi, który dlatego że Włoch, cudzoziemiec, ptak przelotny, — był częścią lekkożyjnej przyrody.

— Więć tak, Marku, — kończyła zwi-enzenia. — Mam lat dwadzieścia i nie wiem, które z tych uczuć jest miłością. Nie wiem nawet, co moi rodzice nazywają miłością, oni, którzy się tak okropnie dłu i ciągle jedna-kowo kochają. Kiedy Jaś mnie odwołał, straż-nie to lubiałam. Lubiałam też jego rozmow-ki, jego matkę. Ale patrzeć na niego wcale nie lubiam. A czy można żyć z zamkniętymi o-czymi? Julek wyglądał właśnie tak, jak po-winien wyglądać mężczyzna, — wielki, smu-ki, poważny i dobrze ubrany. Cóż, kiedy jego pocaunki były zupełnie bez sensu! Może dlatego, że całował mnie ze łzami w oczach. Wreszcie Toni... Ten miał wszystkie zalety i nawet był bogaty. Tylko że z nim było smut-no. Nie chciał rozmawiać. Nie chciał żadnych poglądów uzgadniać. „Przyjdź i przyjdź do mnie”. Więc kiedy na mnie patrzył z gniewem i z cierpieniem, a mnie serce waliło jak mło-tem... było mi za smutno. Spytałam się raz mamy: „N czym wstawałaś do połaga, że wy się z ojcem kochać?” Odpowiedziała: „Na wzajemności uczuć”. To straszne! Żadne z moich uczuć nie było nigdy wzajemne.

Wypłata rozgryzioną łożykę, gwizdnęła na ptaki. Zdziwiła się, że Marko kłępał nad nią, pochylony. Szeptal: „Ecco, ecco... Nina”, jak gdyby patrzył w źródło, widząc w nim swoje odbicie. „Dłatego, Nina?” — spytała. „Bo tak sobie nazwałem dziewczynę, którą od-dziecha chce spotkać”.

Wstali z nad strumyka. Poszli w kierun-ku rzeki. Kira niespokojna z powodu nowego imienia, Marco wniebowzięty. Schylała się po rozchodnik, żeby na pamiątkę tego dnia u-plęść wianek. Marco nie pomagał jej i nie gadał swoim mieszczym, pociesznym „Jezy-ku”. Szedł jak gdyby za trybą, patrząc na jej osobne życie i uwielbiając je. Odchodził nawet o krok, przystawał, zapatrzone w nią z daleka; spłótniły dionie, powtarzał: „Ecco, Nina”. Las się skończył, wyszli na górę, z której widok był szeroki. Przez dolinę rzeka płynęła w meandrach i blaskach. Ponieważ dalsze wzgórze przecinały perspektywę, za-krężył rzeźme wygładzały na jeziora, ujęte w wierzby podobne do oliwek. Za żagle, świe-ćące czerwonymi diobami, leciały krzykliwe rybity. Nad wysokim brzegiem jaskółki, jak czarne strzały, przesywały lekkie i złote po-

wietrze. W dole biegła droga, tak samo kręta jak rzeka, kurz unosił się nad nią, w prze-zroczystym, lśnącym obłoku było sunęło z pastwisk w stronę odległej wsi. Attyki spich-rzów, rozpartych na kamiennych szkapach tuż nad wodą, paliły się rudo przed zachodem.

W kędzierzawym cieplem, na lewym skrzydle panama, dachówki kościoba płonęły, — jak pole maków, a między oknami widnej na prze-strzał, choć ciężkie, dzwonniczy wisiół dzwon milczyły, — płaski i czarny na sionecznym tie. Marco zapatrzył się teraz w ten kraj, pe-łen zapachu, naiwny jak pejzaż Fra Angelica. Z rozdętymi nozdrzami, z podmuchem rzecz-ny w wesołach, stał na wozgórzu, cały prze-mieniony. Później odwrócił się do Kiry, zrobił ręką taki ruch, jak gdyby pokazywał ją, — piękną — pięknemu światu na około i znowu, w tryumfie, ogłosił: „To jest, to jest Nina”.

I wtedy Kira naprawdę poczuła się kim in-nym, poczuła się Niną.

Ze wzgórza zbiegli, trzymając się za ręce. Utonęli w żarnowcach i w berberysach, potem przesłaniał wzrocznia się przed nimi, szli nie-dzaj przylutnieli, żeby nie deptać zboża. I te same kłosa muskały obie twarze. Potem ka-mienisty wąwozek ich ogarnął. Jedno tam było tylko miejsce, usiane wrosem. Położyli się. Kiedy podnieśli głowę, stała nad nimi biała, pochliwa gwiazda. Marco wskazał obok brzoskwińowego koloru, który napływał z oddali: „Takie jest dziecko Niny” — powiedział. Odeszli, połączeni w jedno.

— Zuzia, — mówiła Kira, — poprowadź cię przez ten las na przelań. A przy okazji spojrz na polankę, gdzie powinien teraz kwit-nąć białe storczyki. Bardzo lubiam wtenczas te polanki.

Wtenczas, znaczy „za dni Marka”. Dobrze. Czy ty ciągle jeszcze kochasz tego Marka?

Starsza przyspieszyła kroku.

— Teraz dopiero naprawdę. Dawniej nie byłam sobą. Byłam jego urojeniem.

— Cóż mu z tego, że kochasz tutaj, pod Rudzinem, jeżeli on jest w Rzymie?

— Ty tak mówisz, ty? A Karolek? Czy już do niego nie tęsknisz?

— Karolek co innego. Ja nigdy nie by-łam jego urojeniem, zawsze byłam Zuzią.

MIECZYSLAW PRUSZYŃSKI

JASTRZĘBIE NIEMIECKICH NOCY

W nocy czołgi są jak ślepe. Toteż noc przynosi zwykle odpoczynek wojskom na froncie zachodnim. Czołgi cofają się do tyłu, poza kordon własnej, okopanej piechoty. Załogi czołgów wychodzą ze swych, śmierdzących benzyną, stalowych schronów, by odechnąć świeżym powietrzem, zjeść gorący posiłek.

Po niemieckiej stronie frontu, nie tylko załogi *Panzerkraftwagen*, ale wszystko, co żyje w odległości dwustu mil od linii frontu, czeka niecierpliwie nadejścia nocy, by zacząć życie, a przede wszystkim ruch. Niemieckie pociągi i kolumny samochodów ciężarowych w ciągu dnia czekają w ukryciu, nie śmiąc opuścić węzłowych stacji, bronionych ogniem zgrupowanych baterii przeciwlotniczych, nie śmiąc pokazać nosa na wspaniałych autostradach Hitlera, w trwodze przed przelatującymi jak wichur i pluącymi ogniem setkami Tajfunów, Spitfire'ów, Mustangów, czy Lightningów, podobnych do dwu jaskółek, sprężonych w locie. Dopiero gdy ciemności spłyną na ziemię, setki długich, zda się niekończących się pociągów, i tysiące ogromnych samochodów ciężarowych, budowanych specjalnie na strategiczne autostrady, wychodzą z dziennego ukrycia, i sapiąc i rżąc, suną w stronę frontu, wioząc walczącym żołnierzom miliony galonów benzyny, miliony artyleryjskich pocisków, miliony żywnościowych racji dziennych.

Jednocześnie z kierunku zachodniego pojawiają się na niebie pancerne hufce, złożone z wielkich, czteromotorowych samolotów. Otoczone setkami myśliwców, lecą prosto przed siebie, na wytknięty z góry cel, którym dziś mogą być węzły kolejowe Berlina, a może huty Solingen, lub też fabryki samolotów Augsburga czy syntetycznej benzyny Gelsenkirchen. Te tysiączne armady Fortec, Lancasterów, Liberatorów i Halifaxów płyną karnie niebem jak hufce siedemnastowiecznej husarii, by ciosem dziesiątków tysięcy ton dynamitu zadać śmierć tam, gdzie uderzą. Żaden ze stalowych, skrzydlatych, czteromotorowych rycerzy nie wyłamie szyku, co najwyżej plunie ogniem na podlatujące Messerschmitty, oślepi dynamitem świecące z dołu reflektory, zagłuszy natrętne baterie dział przeciwlotniczych.

Choć polski Dywizjon Nr 305 ma na swej odznace wyrzeźbione skrzydła husarskie, to jednak obecnie nad polami bitew Europy pełni raczej rolę, która w opisywanych przez Sienkiewicza bojach przypadała w udziale dragonom lub też lekkiej jeździe tatarskiej. Każda załoga Dyonu, wyposażona w arcszyby Mosquito, walczy nie w szyku zwartym, ale w pojedynkę; na własną rękę przekrada się na tyły nieprzyjaciela i tam walczy zaskoczeniem; unika nieprzyjaciela mocniejszego, a gdy nań natrafi, wtedy równie szybko, jak pojawiła się, zniknie z placu boju.

Prowadzimy też w Dywizjonie tryb życia odpowiedni. Wysypiamy się — niczym gwiazdy filmowe Hollywoodu — do południa, breakfast-lunch jadamy między godziną pierwszą a drugą po południu, obiad o szóstej wieczór. Nawet Ojciec Święty poszedł na rękę naszemu trybowi życia, ponieważ zezwolił kapelanowi, by w niedzielę odprawił dla nas mszę świętą o godzinie siódmej wieczorem. Natomiast gdy tylko zmrok zapadnie, już z zaciemnionego lotniska startuje pierwsza maszyna do lotu nad Niemcy. I tak przez całą noc będą Mosquity w równych odstępach czasu wyfruwać w czarną noc i wracać po czterech godzinach. Gdy ostatni wyruszy, kur na sąsiedniej farmie już zapieje.

Po kilkunastu minutach lotu pozostają w ciemnościach za nami brzegi Anglii. Nad morzem Północnym chmury są niekiedy czarne i ponure, grożą złowieszczo deszczem, co obłodzić może samolot, lub wichurą, która chwyci go w swe złe szpony. Niekiedy na ciemnym granat nieba wypłynie złocista kula księżycy, otoczona plejadą migocących gwiazd, a białe chmurki pod samolotem ułożą się w miękkie, jak z tatarskiego śniegu puszysty dywan. Wtedy ma się wrażenie, że Mosquito kieruje swój lot w jakieś czarowne zaświaty, ku jakimś innej, pięknej i sennie planecie.

Czasu na marzenia wiele nie ma, skoro już po pół godzinie lotu czernieje w dali brzeg Holandii. Należy tak pokierować samolotem, by spaść do Holandii nad jakąś bezludną plażą i jednym susem ten kraj przeskoczyć, przemijając się między wielkimi miastami: Rotterdamem, Utrechtem, Amsterdamem i Hagą, gdzie jeszcze są Niemcy i gdzie czatują na nas z zasadkami balonów zaporowych i ogni przeciwlotniczych. Od czasu do czasu w słuchawkach interkomu dźwięczy przeciągły, denerwujący dźwięk: to radiowy podsłuch niemiecki namierza kurs naszego samolotu, by wysłać za nim w pogoni myśliwca. Ziemię i wody Holandii szybko przesuwają się pod skrzydłami Mosquita. W prawo od samolotu świecą jakieś ogniki oraz żarzą się pożary — tam leży miasto Arnhem, tamtędy przebiega linia frontu, tam gdzieś się krwawi polska dywizja pancerna i polska brygada spadochronowa. Trzymajcie się, chłopcy! Postaramy się tej nocy ułatwić wam robotę dni następnych.

Po dwudziestu minutach lotu Mosquito

przewinął się już przez Holandię i wleciał nad Niemcy. Teraz kieruje swój lot do tej części przyfrontowej Rzeszy, którą pan marszałek polny, Montgomery, przeznaczył na noc dzisiejszą na zabawę dla polskiego dywizjonu Nr 305. Marszałek bywa hojny, nie żałuje Niemiec polskim chłopcom, czasem da im w prezencie (na jedną noc) całą Westfalię, cza-

sem zagłębie Ruhry, niekiedy lasy Turynii, najczęściej uroczą dolinę Renu, innym razem dla odmiany Palatynat.

Leżąc przede mną mapa woła jednak każdym większym miastem i każdym skrzyżowaniem kolei: *Danger, Danger!* Zadaniem naszym jest niszczyć wszelkie przejawy ruchu nieprzyjaciela na drogach, kolejowych torach,

kanałach. Poco jednak atakować pociąg na bronią setką szybkostrzelnych dział stacji w Hanowerze czy w Kolonii, skoro ten sam pociąg lub inny można dopaść o dziesięć mil w szerym polu? Położmy już wreszcie kres bohaterstwu polskiemu, co to z lancą każe prowadzić żołnierzy na czołgi. Mordujmy nieprzyjaciela zdradliwie, skrycie, z tyłu, — sami kurczowo starając się żyć.

Mosquito pruje czarną noc nad Niemcami, gdy tylko namierzanie radiem brzmi w słuchawkach zbyt natrętne, daje szusa na prawo lub w lewo, skoczy w górę, poślizgnie się w dół i znów wraca na trasę. Czasem z dołu błysnie reflektor, czasem trysną czerwone błyskawice artyleryjskich pocisków, ale trwa to tylko niewiele sekund, Mosquito leci przecież z szybkością 120 metrów na sekundę, poszczególne działo może też skutecznie do niego strzelać tylko przez czas... sześciu sekund. Mosquito dalej pędzi wśród czarnych chmur nad czarnym lądem, omija większe miasta, przekrada się między nimi jak intruz, kłusownik, co pędzi na złodziejską wyprawę. Wreszcie dopadł autostrady czy kolejowego toru, nad którym ma przez godzinę roztoczyć złowieszczą opiekę. Teraz obniżamy lot, Mosquito krąży wolniej, nachylił do szyb, staramy się przeniknąć ciemności niemieckiej ziemi pod nami. Naraz dojrzelismy. Tam w dole, w prawo, na czarnej linii kolejowej przesuwają się powoli wielka, długa, biała plama. Dobrze wiemy, co to jest: dym z lokomotywy. Niczego więcej narazie nie widać, ale to zupełnie wystarczy. Mosquito zniża lekko lot, i jak jatrząb zatacza szeroki krąg nad wybraną ofiarą, dokładnie planując najlepszy kierunek uderzenia. Ani jastrząb, ani Mosquito nie krąży długo nad wybraną ofiarą. Pochyla lekko dziób i bierze kierunek na sunący w tempie żółwim, dymiący, sapiący pociąg. Mosquito, pikując, pędzi w dół, coraz szybciej, już w sekundzie przebywa metrów 150, po chwili już 170, po chwili już 200, nie wiele mu już brakuje, by pędzić z szybkością głosu. Dym z lokomotywy zbliża się z zawrotną szybkością, już widać iskrzący parowóz, w ułamkach następnej sekundy już widać długi rząd wagonów. Już oba palce nacisnęły spusty i celowane kierunkiem samolotu cztery automatyczne działa i tyleż maszynowych karabinów praży gradem świetlnych pocisków. Ale teraz sami jesteśmy oddzieleni o ułamek sekundy od śmierci. Jeśli Mosquito z lotu pikującego nie zostanie poderwany do góry w porę, jeśli w swym zaborczym tempie muśnię chociaż leciutko ziemię, to nie tylko ciała załogi, ale nawet płyty pancerne i stalowe lufy dział rozsypią się w strzępy. Ale raz jeszcze Mosquito w czas się poderwał i znów zatacza koło nad ofiarą, pozostawioną tam w dole. Pociąg albo już jest w płomieniach, albo też przerażony zatrzymał się i oczekuje litości. Nie zazna jej. Bo jastrząb tymczasem zataczył drugie koło i za parę sekund znów runie z chmur na obezwładnioną już ofiarę.

Niekiedy, choć nie często, pociąg jest uzbrojony i po pierwszym ataku grad błyskawic oderwie się od niego i gdy wyciągamy samolot z piki, popędzi za nim, w koło niego, obok, z przodu, z tyłu. Chwila jest nieprzyjemna, wydaje się, że pociski świetlne są rozsiane po całym niebie i muszą trafić Mosquitę, ale po paru sekundach pociski nikną w mrokach nocy, a Mosquito płynie nadal po niebie zwycięsko. Niekiedy Niemcy urządzają dla nas specjalne pociągi-pułapki, niczym łapki na łakome myszy. Ustawiają na torze pusty pociąg z dymiącą wspaniałą lokomotywą, wokoło zaś niego ukrywają ze dwadzieścia przeciwlotniczych dział. Bieda samolotowi, co zaatakuje taki pociąg. Narazie nasz Mosquito jeszcze się nań nie natknął.

Niezdrowo jest jednak z jednym pociągiem bawić się dłużej jak parę minut, bo już leci mu na odsiecz niemiecki myśliwiec nocny. Gdy w słuchawkach interkomu słychać urywane brzęczenie, znak, że już jest na naszym tropie. Wtenczas parę nagłych zwrotów maszyny, skok w dół czy do góry, wystarczy, aby zgubić natręta. I przenosimy się nad sąsiednią autostradą czy kanał. Gdy ujrzymy na jasnej tafli wody kanału ciemne plamy, wiemy, że są to barki. Gdy zaś przyćmione światła ruszają się na asfalcie autostrady, wiemy, że to jadą wozy. I znów Mosquito spada z ciemnego nieba na wybrane ofiary, pluje ogniem, barki toną, samochody stają w płomieniach.

Godzina patrolu upływna, zmieniamy wysockość, by się nie zderzyć z nadlatującymi dla luzowania nas maszynami. I znów nasz Mosquito jak wracający z wyprawy złodziejskiej kłusownik przemyka się w pędzie swych trzystu mil na godzinę gdzieś między Dortmundem a Akwizgranem i Kolonią, potem między wielkimi portami Holandii. Na morzu Północnym czujemy się już jak na ścieżce we własnym ogrodzie. Dwie godziny potem członkowie załogi zasypiają snem sprawiedliwego na łózkach polowych przylotniskowego baraku, gdzieś w zacisznym hrabstwie Surrey czy Essexu.

A brani do niewoli żołnierze niemieccy zeznają, że w ciągu całych miesięcy nie mogli spokojnie zmrznąć oka, bo samoloty alianckie bez przerwy dniem i nocą przelatywały im nad głowami.

Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



W drodze do obozu w Pruszkowie



Żołnierze Polskiej Armii Krajowej idą do niewoli



Ranny żołnierz Polskiej Armii Krajowej, znaleziony w kanale ulicznym



Żołnierz niemiecki z miotaczem ognia

Beveridge'iana

Projekt rządowy

Ubezpieczenie chorobowe jest ograniczone do 3 lat, ubezpieczenie od bezrobocia do 30 tygodni. Po tym okresie ubezpieczenie przestaje działać. Bezrobotni, względni chorzy przechodzą na świadczenia skromniejsze utrzymywane przez *National Assistance Board*. Tu jednak muszą się wykazać bar-

Anglicy a wybory amerykańskie

Należy tu wyjaśnić dwie rzeczy. Primo, wyraźny zwrot na prawo, jakiego dokonał Roosevelt w ostatnim okresie swego urzędowania, mimo ogół niepostrzeżenie w Anglii, która wciąż jeszcze zachwyca się *New Deal*em, T.V.A. i t. d., sęundo, że mówiąc o lewicowości w Anglii, mamy na myśli nastawienie opinii publicznej, a nie przyczyną rządu i konserwatywnej większości parlamentarnej.

Angielskie „trzy po trzy“, II

Prawdziwa czy nieprawdziwa, teoria Browna jest ważną z innego powodu. Wielu dzi obawia się, że legenda Hitlera może być bardziej niebezpieczna niż jego rzeczywistość. Hitler w apoteozie bohatera, który zginął, walcząc, z męczennika, który został powieszony przez aliantów, albo rycerza, śpiącego w podziemi Berchtesgaden, roznicił tylko tłacy się w kaze Niemcu fanatyczny nacjonalizm i stanowić przez to potencjalną groźbę dla przyszłości Europy, z której nie potrafimy wypienić 80 milionów. Natomiast Hitler—wariat to jest—na zawsze koniec jego legendy. Naród Die

Trzecim najstarszym posłem w Izbie Gmin po Lloyd George'u i p. Lambert, jest Lord Winterton, poseł konserwatywny. Zapytywano mnie

Możnaby się słusznie dopatrywać analogii między Słowackim a Shelleyem, pamiętać jednak, że subtelna, lotna wyobraźnia Słowackiego czerpie swe siły z natchnienia polskiego romantyzmu — z namiętej miłości ojczyzny. Wyjątkową wartość jego największych dzieł sprawia, że jest on poemat miłosny „W Szwajcarii”, „Testament”

H. S. Dominik

F. B. Lock
(tłum h. ...)

*) Wybitnego religijnego poety angielskiego, który zmarł nieznanym w r. 1889 i został odkryty w r. 1918 przez Bridges'a. Wywarł on znaczny wpływ na poezję angielską okresu międzywojennego (n r z y w r e d.).

F. B. Lockhart
(thum h. z.)

*) Wybitnego religijnego poetę angielskiego, który zmarł nieznanym w r. 1889 i został odkryty w r. 1918 przez Bridges'a. Wywarł on znaczny wpływ na poezję angielską okresu międzywojennego (przyp. red.).

PERSPEKTYWY NOWEGO ŚWIATA KRONIKA POLSKA

Leopold Schwarzschild.
Primer of the Coming World. New York,
Alfred A. Knopf, 1944. Str. 280.

Schwarzschild był wybitnym dziennikarzem niemieckim; jednym z tych niewielu, bardzo niewielu Niemców, którzy nie byli zaślępieni nacjonalizmem i nienawiścią do Traktatu Wersalskiego; którzy byli naprawdę dobrymi Europejczykami. Oczywiście, zaraz po przyjściu do władzy Hitlera musiał uciekać i już w Paryżu zaczął na nowo wydawnictwo swego tygodnika *Das Neue Tagebuch*. Tygodnik ten, świetnie redagowany, ostrzegał stale przed przyszłą wojną, ostrzegał także — w czym był wyjątkiem wśród pism demokracji niemieckiej, — że groźnym dla świata jest nie tylko sam hitlerizm, ale i Niemcy.

Po upadku Francji Schwarzschildowi udało się uciec do Ameryki i tam kontynuować on swą działalność pisarską. Pierwszą jego książkę, *World in a Trance*, będącą historią lat przedwojennych z tego, że jedynie polityka, propagowana na konferencji pokojowej przez Clemenceau, mogła była oszczędzić światu drugiej wojny, Winston Churchill zakupił dla wszystkich członków gabinetu jako obowiązkową literaturę.

Druga jego książka — omówiona w niniejszym artykule — jest może najlepszą analizą zagadnień, które staną przed twórcami pokoju, jaką zdarzyło mi się czytać.

Schwarzschild jest realistą. Nie znaczy to, że nie ma on ideałów politycznych, ale znaczy, że spogląda faktem w oczy i że nie daje się otumaniać ani frazesom, ani też zapewnieniom optymistycznym.

Jeśli idzie o Niemcy więc, to Schwarzschild uznaje, że zasadniczą podstawą pokoju powinno być to, co daje jako tytuł części książki *Freedom from Fear of Germany*. Schwarzschild nie przeczy absolutnie możliwości, że Niemcy pod wpływem przegranej i bankructwa hitlerizmu się zmieniają, choć mało w to wierzy. Ale uważa, że w żadnym wypadku nie można budować pokoju na podstawie tak kruchych nadziei. Trzeba uniemożliwić Niemcom nową wojnę. To znaczy, musi być zupełne rozbicie na lat kilkadziesiąt co najmniej, musi być równie długotrwała okupacja wojskowa. Co do odszkodowań, to Schwarzschild drwi z legendy, jakoby Niemcy zostały zrujnowane przez odszkodowania wojenne, i uznaje ich możliwość i konieczność, z tym zastrzeżeniem, że muszą to być odszkodowania w naturze. Charakterystyczne jest stanowisko Schwarzschilda w sprawie reedukacji Niemiec. Uznaje on konieczność demokracji Niemiec; wierzy, że jest ona możliwa, o ile okupacja przekona Niemcy, że nie mają żadnych szans próbowania z powrotem pod-

boju świata. Jest jednak sceptyczny co do planów reedukacji Niemiec. A to dlatego, że nie widzi możliwości, by mogła istnieć jedność koncepcji co do kierunku reedukacji między trzema wielkimi sprzymierzonymi. „Tutaj współczesny kawał propagandowy przyczepienia do systemu rosyjskiego przymiotnika „demokratyczny” nie rozwiąże zagadnienia. Ideologia — pisze — Rosji i demokracji anglosaskich w istocie swej są nie do pogodzenia, nie może więc być mowy o tym, by znaleziono jakiś wspólny mianownik, który by był wskazówką dla wychowawców nowych Niemiec”.

Ten przykład świetnie ilustruje to, co nazwał „realizmem” Schwarzschilda.

Lepiej jeszcze to realistyczne podejście rozświetla sytuację, gdy Schwarzschild analizuje zagadnienie przyszłej organizacji międzynarodowej. Jest on zwolennikiem jej powstania; zgadza się, że taka organizacja, szczególnie, jeżeli będzie wyposażona w siłę zbrojną, może zabezpieczyć pokój. Ale po pierwsze, warunki pokoju, zabezpieczenie bezsilny Niemiec, winny być tak utrwalone, by nawet wtedy, gdyby organizacji międzynarodowej nie było, Niemcy nie mogli znowu światu zagrozić. Nie podobna bowiem ryzykować na nowo, tak jak się ryzykowało w r. 1919, gdy słuszne żądania bezpieczeństwa francuskiego odrzucono z powołaniem się na to, że Liga Narodów zabezpieczy pokój. Po wtóre siła międzynarodowa będzie wystarczająca przeciw mniejszym państwom; niebezpieczeństwo jednak istotne powstanie wtedy, gdy które z wielkich mocarstw zagrozi pokojowi. W tym zaś wypadku organizacja międzynarodowa i jej siła zbrojna wtedy tylko będą skuteczne, gdy — w przeciwieństwie do tego, co się działo w latach 1931—1939 — wielkie mocarstwa istotnie będą zdecydowane na rzucenie wszystkich swych sił w obronę państw małych. Co nie jest pewne. Rezultat konferencji w Dumbarton Oaks, gdzie istotnie — zdaje się, pod naciskiem rosyjskim — zgodzono się na zasadę koniecznej jednomyślności Wielkiej Czwórki dla określenia napastnika i wprowadzenia w ruch maszynierii przeciw agresji, to jest gdzie dano właściwie wolną rękę ekspansji wielkich mocarstw, potwierdza sceptycyzm Schwarzschilda. Pokój więc — jego zdaniem — jest zagwarantowany dopóty jedynie, dopóki Wielka Czwórka jest jednomyślna. Ściśle mówiąc, zależy od tego, „czy Rosja również zechce pozostać w granicach swego własnego olbrzymiego Imperium, jak to z pewnością można powiedzieć o Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Jeżeli tak, to będzie pokój między nią i dwoma mocarstwami anglosaskimi. Wszelkie nieporozumienia będą bez znaczenia i łatwo się dadzą usu-

nać. Ale jeżeli Rosja w przeciwieństwie do mocarstw anglosaskich będzie chciała wyjść poza swe granice i zwiększyć swą potęgę, to horyzont się zachmurzy”.

Schwarzschild zwraca uwagę, że ekspansja rosyjska może przyjąć różne formy, że może być nawet po prostu przybrana w formę ekspansji „ideologicznej”. Zdaniem jego, decyzyjną ostateczną nie zapadła jeszcze w Moskwie. „Niewątpliwie, Moskwa sonduje obecnie, ile ekspansji rosyjskiej sprzymierzeńcy zniosą chętnie, i sondując, jednocześnie próbuje powiększyć ten rozmiar”. Zmieniają się uśmiechy i groźby. Nie mówi się o aspiracjach rosyjskich, ale o krzywdach, jakich Rosja doznała. „Metoda ta jest wyjątkowo skuteczna, albowiem istnieją zarówno w Anglii, jak i w Stanach silne elementy, które są zawsze bez zastrzeżeń prorosyjskie. Prawie przymusowo więc Waszyngton i Londyn będą zmuszone zgodzić się na pewną ekspansję Rosji”. I dopiero wtedy, gdy dojdą do granicy ustępstw, Stalin będzie musiał powziąć decyzję ostateczną.

Nadzieja na pokój, na lepszy świat istnieje więc, ale o tyle jedynie, o ile „przejdzie wielka chmura, wisząca jeszcze na niebie, chmura ekspansjonizmu rosyjskiego”.

Równie realistycznie zapatruje się Schwarzschild na kwestję federacji narodów Środkowej Europy. Uznaje ją za pożądaną, ale wątpi, czy istotnie narody basenu dunajskiego chcą federacji, narzucona zaś federacja byłaby szkodliwa. Powiada on, że „jest bardzo groźne, iż jedyny projekt, jaki powstał wśród tych narodów, — projekt polsko-czeski, — został zablokowany przez opozycję rosyjską”.

I mocno ostrzega przeciwko projektom nie tylko demilitaryzacji małych narodów, którą uważa za niebezpieczny absurd, albowiem w razie sporu między wielką Trójką armie te mogą odegrać ważną rolę. Ostrzega jeszcze mocniej przed próbami umniejszenia ich niepodległości i suwerenności, tak popularnymi wśród różnych Cole'ów i Carr'ów: „Nie można by gorzej zacząć nowej ery, aniżeli przez pogwałcenie prawa narodów swobodnego rządzenia się. Nie mają one żadnych powodów po temu, by uznać, że któśkolwiek z Wielkiej Trójki jest mędrszy lub moralniejszy od nich. Wręcz przeciwnie, są wszystkie mocno przeświadczone, że wielkie mocarstwa są bardziej odpowiedzialne za katastrofę niż małe narody. W ich rozumieniu są oni wierzytelnymi, nie dłużnikami”.

Nie tylko zimnej inteligencji trzeba, by dzisiaj te rzeczy mówić Anglikom i Amerykanom. Trzeba i odwagi.

cep.

O NAUCE POLSKIEJ DLA ANGLIKÓW

Five Centuries of Polish Learning.
Three Lectures Delivered in the University of Oxford, May, 1941, by Stanisław Kot. English Version by William J. Rose. Foreword by Professor F. M. Powicke. Oxford, Blackwell, 1941. Str. 53.

Zreferować w trzech arkuszach druku historię nauki polskiej od późnego średniowiecza po lata ostatnie, zreferować ją audytorium, z Polską słabo obznajmionemu, któremu zatem w trakcie wykładu trzeba najbardziej elementarne fakty ze społecznej i politycznej historii Polski przypominać, i to zreferować w ten sposób, aby odczyty nie były tylko litanią egzotycznie dla Anglika brzmiących nazwisk, ale aby wydobywały zasadnicze linie rozwojowe, charakteryzowały stan nauki w Polsce — wszystko to było zadaniem niezwykle trudnym. Dodajmy, iż materiał jest sam w sobie tego rodzaju, iż z trudem tylko daje się skomponować w jednolitą całość: jak mówić np. w jednym odczycie o rzeczach tak rozbieżnych, jak rola Kasy Mianowskiego w organizacji nauki polskiej, badania Marchlewskiego nad stosunkiem chrolofilu do hemoglobiny i *Bibliografia* Estreichera. Trzeba było wielkiej swobody w operowaniu materiałem faktycznym, aby uczynić z tego wszystkiego całość strawną i interesującą dla cudzoziemców.

Najprostszym, ale i najpewniejszym sposobem było tu wplecenie w odczyty całego szeregu szczegółów na temat związków nauki polskiej z życiem kulturalnym angielskim: ozywając one wykład, kaptując uwagę czytelnika angielskiego, wiązać w jego świadomości zjawiska polskiego życia kulturalnego z angielskim. Przy Kadłubku wspomniano więc, iż znał on prawdopodobnie Gerwazego z Tillybury i dostarczył mu polskich szczegółów do jego *Otia Imperialia* (warto przy tej okazji podnieść, że ostatnio jeden z amerykańskich historyków znalazł w *Kronice* mistrza Wincentego ślady lektury najstarszego z kronikarzy angielskiej i w dużej mierze twórcy legendy arturijskiej — Geoffrey'a z Monmouth). Mówiąc o dysypucie, jaka się toczyła w r. 1431 w obecności Jagiełły na zamku królewskim w Krakowie między husytami a ich przeciwnikami, podkreślił autor, iż też husyckich bronił tu Peter Payne z Oxfordu, mówiąc zaś o rozwoju Akademii Krakowskiej, wspomniano Coxę'a *De laudibus celeberrimae Academiae Cracoviensis*. Drobną ale charakterystyczną szczegół, — wiadomość o egzem-

plarzu *Nowego Testamentu* Erazma, odkupionym wraz z całą biblioteką wielkiego humanisty przez Jana Łaskiego, a dziś znajdującym się w *Queen's College* w Cambridge, — lepiej od długich wywodów charakteryzuje europejskie konsekwencje polskiego humanizmu. Przypo-



Prof. Stanisław Kot

mniano też popularność angielskich wydań poezji Sarbiewskiego (choć *sensu stricto* nie należy to już do tematu) i angielskiego przekładu szesnastowiecznego traktatu Wawrzyńca Goślickiego *De optimo senatore* (można było przy tej okazji wspomnieć, iż jest rzeczą prawdopodobną, że nazwisko Poloniusza w *Hamlecie* jest złośliwą aluzją Shakespeare'a do tej właśnie książki; — spore, ale bałamutne studium ogłosiło kiedyś na ten temat Nowaczyński). I tak jest aż do ostatnich czasów, gdzie np. podkreślono paralelną w równoczesnym odkryciu hormonu andrenaliny przez Olivera i Schaeffera w Anglii oraz Cybulskiego i Szymanowicza w Polsce. Podobnie też cytat z rosyjskiego poematu Poleżajewa, który w poemacie *Sasza* jako siedzący poważnych studiów naukowych wymieni jednym

tchem obok siebie Oxford, Wilno i Getyngę, poinformuje angielskiego czytelnika o roli kulturalnej i poziomie Uniwersytetu Wileńskiego w początkach XIX w. dużo lepiej i w sposób dużo bardziej przekonujący (jako że powołano się tu na cudzoziemskiego świadka) od najbardziej gromkich zapewnień.

Tych gromkich zapewnień zresztą w odczytach nie ma. Prof. Kot wyraźnie chciał uniknąć podejrzenia, że „robi propagandę” (arcyszuszenie, skoro podejrzenia takie idą zawsze u czytelnika i słuchacza w parze z utratą kredytu dla propagatora) i nie ukrywa ciemnych stron: czy to dyktantyzmu i powierzchowności naukowych zainteresowań szlacheckich XVI w., czy np. obniżenia się poziomu uniwersytetów polskich w pierwszych latach niepodległości w związku z koniecznością znalezienia personelu profesorskiego dla całego szeregu nowych szkół wyższych i z nieprzygotowaniem młodzieży do studiów.

Zato nie unika nawiązań do współczesności, uaktualnienia tematu: wspomni o tym, jak aktualny posmak mają zarzuty, wysuwane przez Braci Polskich przeciwko komunistycznym gminom anabaptystów morawskich (bliżej bmołwił je w swojej książce o *Ideologii politycznej i społecznej Braci Polskich, zwanych arianami*), podniesie, iż po powstaniu listopadowym Cytadela Warszawska została przez Rosjan zbudowana z funduszy, przeznaczonych w Królestwie Kongresowym na cele oświatowe. Szczegół jest drobną, ale jak wymownie oświeca tę *via dolorosa*, którą nauka polska kroczyła musiała w XIX w. i na jaką przyszło jej raz jeszcze — w warunkach o ileż okrutniejszych — wstąpić po Wrześniu.

Książka składa się z trzech rozdziałów: w pierwszym omówiono historię nauki polskiej w czasach przedrozbiorowych, w drugim — jej dzieje w XIX w., w trzecim — czasy obecne. Znalazło się tu miejsce na ekskursy o nauce ukraińskiej, żydowskiej, niemieckiej i litewskiej na ziemiach polskich. W epilogu scharakteryzowano pokrótce spustoszenia z pierwszego roku wojny; — dziś musiałby się on rozrosnąć co najmniej trzykrotnie.

Trzeba jeszcze dla ścisłości wspomnieć, iż błąd druku na str. 6 zrobił ze znakomitego filologa, Andrzeja Patrycego — filozofa; można by też zakwestionować ścisłość twierdzenia, iż przed pierwszą wojną światową w polskiej *Hochschule* „ani jeden członek ciała profesorskiego nie był wybitnym uczonym” (str. 35), skoro uczył na niej w latach swej młodości najwybitniejszy anglista niemiecki, Dibelius (i bombastycznie dedykował jej swoją *Englische Romankunst*).

ww.

— Z przedmową p. Heleny Sikorskiej ukazała się w Londynie nakładem F. P. Agency Ltd. oficjalnie ilustrowana broszura Witolda Majewskiego „Polish Children Suffer”.

— Nakładem wydawnictwa E. Laskowskiej w Edynburgu ukazała się powieść Jerzego Pomiana „Z ziemi polskiej do szkockiej”. Ta sama powieść, w angielskim przekładzie R. Pearce'a, wyszła nakładem Książnicy Polskiej w Glasgow p. t. „Eagle and Tartan”. Poprzedził ją przedmowa znany powieściopisarz angielski, Compton Mackenzie. W przedmowie tej Mackenzie, nawiązując do tego, że jednym z bohaterów powieści jest Polak pochodzenia szkockiego, nazwiskiem Mackay, podkreśla historyczne więzy, łączące Polskę ze Szkocją, następnie zaś wspomina swoją wycieczkę do Polski we wrześniu 1932 r. O samej powieści pisze: „Jest ona napisana przez wybitnego Polaka, który dla oczywistych przyczyn musi pisać pod pseudonimem, i choć ujęta jest w formę powieści, można ją potraktować jako ponury i ścisły raportaż. Książka opowiada o tym, co przydarzyło się w owe wrześniowe dni 1939 r., kiedy stado hitlerowskich wilków rzuciło się poprzez granicę na grabież. Czytelnik angielski może być pewien, że autor nie przeszarżował w ujęciu materiału. Jest to trzeźwe opowiadanie, napisane bez ozdób literackich, ale dlatego właśnie wywierające tym silniejsze wrażenie. Mam nadzieję, że będzie ono czytane przez tych ludzi, którzy wierzą jeszcze w ową tajemniczą odmianę rasy ludzkiej, zwaną dobrymi Niemcami”.

— W ostatnim, jesiennym tomie czołowego awangardowego angielskiego pisma literackiego „New Writing and Daylight”, które wychodzi dwa razy do roku w tomach objętości sporej książki, ukazało się studium Tymona Terleckiego o „Polskim teatrze monumentalnym”, stanowiące rozszerzone opracowanie odczytu w Uniwersytecie Londyńskim. Autor wyprowadza rodowód tej formy scenicznej z romantyzmu polskiego, w szczególności z idei Mickiewicza o „teatrze słowiańskim”, wiąże z późniejszymi ogniwami (Wyspiański) i włącza ją w ogólnoeuropejski prąd, objęty nazwą „reformy teatru”. Dla czytelnika angielskiego szczególnie ciekawe będą powiązania polskich osiągnięć z E. G. Craigiem, głównym promotorem tej „reformy”. Nacisk położony na oryginalne rysy polskiego „teatru monumentalnego”. Studium uzupełniają dwie reprodukcje: z inscenizacji „Dziadów” i „Miarki za miarkę”.

W tym samym numerze ukazał się przekład opowiadania Stanisława Balińskiego „The Migration of the Birds”.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa Secker & Warburg ukazała się książka prof. Ferdynanda Zweiga „Poland between Two Wars”.

— Nakładem wydawnictwa Caldrea House w Duns (Berwickshire) ukazała się broszura Leszka Kirkiena „Russia, Poland and the Curzon Line”.

— Nakładem londyńskiego wydawnictwa Max Love Publishing Co wyszła książka prof. Adama Pragera p. t. „Polish Peace Aims”. W tymże samym nakładzie ukazała się książka Eileen A. Arthura p. t. „Poland, Land of the White Eagle”. Książkę zaopatrzone w czterdzieści jeden ilustracji oraz mapę Polski.

— The Polish Research Centre w Londynie wydał studium J. M. Winiewicza p. t. „Aims and Failures of the German New Order”. Do książki, zaopatrzonej w obfita bibliografia, dołączono trzy mapy.

— Londyńskie „Liberty Publications” wydało broszurę p. t. „The Camp of Death”. Poprzedza ją przedmowa p. J. Jennie L. Adamson, członka Izby Gmin.

— W Londynie ukazała się bogato ilustrowana broszura Zygmunta Nagórskiego, jnr. p. t. „Falaise Gap Has Been Closed”.

— Książnica Polska w Glasgow wydała dzieło polskich pieśni ludowych „The Polish Folk Songs” w układzie na fortepian Felicjana Szopskiego. Tekst angielski opracował Jan Słowiński.

— Stowarzyszenie Techników Polskich w Wielkiej Brytanii, Sekcja Motoryzacyjna, wydało w Londynie tom referatów, wygłoszonych na zjeździe motoryzacyjnym w Londynie w dniach od 12 do 14 lutego 1944. Tom, wydany p. t. „Zjazd Motoryzacyjny”, obejmuje 18 referatów. Poza tym ogłoszono w tomie tezy i wnioski Zjazdu.

— Nakładem wydawnictwa „The New Europe Publishing” ukazała się w przekładzie Frances Notley p. t. „The Years of Exile: Selections from Polish Poets Now in Britain” antologia liryki polskiej czasu wojny.

— Bostońskie wydawnictwo Little, Brown & Co. wydało „Que Vadis” Sienkiewicza w przekładzie J. Curtin'ne'a i z ilustracjami z obrazów Howarda Pyle'a i Everta Van Muydena.

— Jak donosi nowojorski „Tygodnik Polski”, w maju ub. r. ukazało się w Czunkingu w języku chińskim broszura p. t. „Ku uczczeniu czterechsetnej rocznicy Kopernika”. Broszura wydana została przez Bibliotekę Popularyzacji Wiedzy nakładem Wydziału Oświatowego prowincji Seczen. Składa się ona z pięciu artykułów, jeden z nich wyszedł spod pióra prof. J. Needhama, brytyjskiego attaché kulturalnego w Czunkingu. Wstępny artykuł nosi tytuł „Duch wolności w systemie Kopernika i w dziejach Polski”.

— The British Council wydała w Londynie w tłumaczeniu dra Marii Krzemickiej broszurę Sir Maurice'a Amosa „Wymiar sprawiedliwości w Wielkiej Brytanii”.

— Nakładem Kolina w Londynie ukazała się broszura angielska Zbigniewa Grabowskiego „Europe Expects England”. Ten sam autor wydał u Maclellana w Glasgow „szkic polityczny” p. t. „Creative Peace. Integration of Europe a Necessity”.

— Nakładem Atlantis Publishing Co w Harrow ukazała się książka S.E.W. Stokesa „Happy Days in Poland”, wrażenia z pięcioletniego pobytu w Polsce.

— Nakładem Williama Hodge & Co w Londynie wyszła broszura J. M. Winiewicza „The Polish-German Frontier”.

— John S. Burns & Sons w Glasgow wydali broszurę Johna McKee „Poland, Russia and Our Honour”.

— W Edynburgu ukazała się nakładem autora broszura L. Schweizera „Europe's Call to Britain”.

— W londyńskiej serii „Free Europe Pamphlets” ukazała się broszura Kazimierza Smogorzewskiego „Lwów and Wilno”.

KRONIKA FILMOWA

W Y S P A I T A C A

(Human Comedy — Slightly dangerous — Sullivan's Travels)

Wśród komedii o głośnych nazwiskach kochanków, wśród operetek i rewii, poprzebieranych zgodnie z modą w mundury (This is the Navy, This is the Army), w powodzi obrazów z ruchu podziemnego i nawpół dokumentarnych thrillerów wojennych raz po raz zjawiają się filmy o charakterze, dość rzadko spotykanym w przedwojennej produkcji Hollywoodu: są one podobne do sztuki z tezą, poruszają problemy społeczne i mają cel dydaktyczny, zwracając się przy tym wyraźnie do społeczeństwa amerykańskiego.

Niektóre z nich, jak *Mission to Moscow*, są właściwie artykułami politycznymi, przełożonymi na język ekranu, inne, jak np. *Mr. Smith Goes to Washington*, czy *Meet John Doe*, propagują jak najszerzy udział i zainteresowanie człowieka w sprawach publicznych, inne jeszcze, jak *Nasze miasto* lub *Komedia ludzka*, stają się apoteozą przeciętnego obywatela amerykańskiego, wszystkie zaś kształcą poczucie, że człowiek, urodzony na obszarze, gdzie władza demokratyczna konstytucja Stanów, jest wybrańcem losu i członkiem najważniejszej, najprawdopodobniej, najdojrzalszej społeczności na świecie. Jeżeli zaś istnieją w niej pewne błędy, to równocześnie pełnia demokratycznych praw jednostki i swoboda działalności politycznej stwarzają dla każdego nie tylko możliwość, lecz i obywatelski obowiązek współpracy w reformie. W ten sposób pochwała przeszłości, kult demokracji, narodowa dumą z dotychczasowego dorobku, mogą łączyć się z krytyką istniejących stosunków i zachętą do zmian.

W języku amerykańskim dla określenia podobnej postawy powstał nawet przymiotnik, stworzony od nazwiska głośnego reżysera, Franka Capray'a. Oczywiście ową *Capraish tendency* jest finansowana przez wielką kapital, który tworzy filmy i na nich zarabia. Można w tym widzieć podporządkowanie się nastrojom publiczności, spośród której około 10 milionów dobrze pamięta, czym jest bezrobocie, ale także i umiejętnie propagandę, przeciwdziałającą ewolucji — rewolucji.

Zdaje się, że po okresie 12-letnich rządów Roosevelta wielu ludzi w Stanach uznaje konieczność planowania w skali państwowej, kontrolę produkcji i uświadamia sobie, że powrót do okresu pochodów bezrobotnych na New-York i Washington jest niemożliwy. Zmiany muszą nastąpić, choćby nawet przejściowo przyszła reakcja na ciężary podatkowe polityki Roosevelta i okres ponownego wysięgu prywatnych zysków. Idzie więc tylko o to, aby dążenie do reform pozostało w ramach istniejącego ustroju, nie wykoszlawiając się ani w stronę faszystów, czego już się obawia Sumner Welles, ani w stronę komunizmu, czego obawiają się inni. Im silniejsze będzie poczucie amerykańskiej narodowej solidarności, związku uczuciowego, dominującego nad różnicami klasowymi, im mocniej będzie uderzać kontrast dobrobytu i praworządności Stanów w porównaniu z innymi próbami ustrojowymi, im większe będzie przywiązanie do obecnego życia, otaczanego sentymentem na wzór angielskiego *Home, sweet home*, — tym bardziej w ostatecznym rezultacie psychika każdego Amerykanina będzie sprzyjała spokojnej ewolucji, odrzucającej wszelkie drastyczne pomysły.

Ze nie jest to tylko organizowana propaganda, ale bodaj także i szeroko rozpowszechniona reakcja wobec *changing world*, może świadczyć wielki sukces wydawniczy dość osobliwej książki Saroyana *The Human Comedy*, służącej w pełni tym właśnie idealom. W ślad za książką przyszedł film o ogromnym powodzeniu, który mimo braku tych czynników, jakie zwykle pociągają publiczność, i mimo dość niecodziennej formy, zyskał taką popularność, jakby istotnie jego treść była wyrazem tego, co odczuwają szerokie masy.

Human Comedy zbliża się w fakturze do głośnego utworu laureata pulitzerskiej nagrody, Th. Wildera, *Nasze miasto*. O ile jednak Wilder dał szczerze charakter ogólnoludzki i perspektywę metafizyczną, Saroyan swoją powieść związał wyłącznie ze środowiskiem amerykańskim. Rzecz dzieje się w niewielkim prowincjonalnym mieście, nazwanym Itaca. Nazwy miast w Stanach Zjednoczonych bywają najrozmaitszego pochodzenia: od reminiscencji klasycznych aż do źródłosłów indiańskich, i rzeczywiście jakaś kilkudziesięciotysięczna Itaca może istnieć na mapie. Dla autora jednak to słowo miało przypominać wyspę z *Odyseji*, podsuwać myśl o rodzinnym domu, opuszczonym na rzecz wojny i przygód w szerokim świecie, nawiązywać do ojcowizny Odyseusza i rozróżniać do symbolu ojczyzny, którą łatwo opuścić, a do której trudno powrócić.

Bohaterowie noszą homeryckie imiona, a gust amerykański potrafił nawet jednego z nich nazwać Homerem. W sposób dość naiwny artystycznie, ale znamienne dla intencji podkreślenia ciągłości pracy pokoleń, opowiada całą historię duch ojca, patrząc z zaziemskich wysokości na zdarzenia w Itace i dostrzegając z tej perspektywy to, co przechodzi niezauważone dla bohaterów i widzów. Gdy nam powszednie dnie Itaki wydają się szablonowe i nie zasługujące na większą uwagę, on widzi w nich sumę ludzkiego szczęścia i cierpienia, pewien stopień ludzkiego rozwoju, w którym solidarności bierze już górę nad nieokielzanym indywidualizmem.

Zarówno autor, jak i reżyser, starają się wydobyc ów związek między żyjącymi a umarłymi. Żywi tak pamiętają umarłych, że aż stwarzają ich współobecność, umarli spoglądają na kontynuację swego dzieła i powtarzają się schemat ich życia. Żywi zawdzięczają umarłym swe uformowane warunki społeczne, religijność i obywatelskość, umarli zaś w tym znajdują nagrodę, że istnienie ich synów jest jakby odbiciem dokonanym z tego samego wzoru. Tradycja doznaje apoteozy.

Z chwilą wybuchu wojny jeden z synów osieroconej rodziny musi — jak Ulysses — opuścić dom i ruszyć w dalekie kraje. Matka, siostry, najmłodszy brat pozostają na utrzymaniu drugiego z kolei syna. Pracuje on w miejscowym urzędzie telegraficznym, łącząc zarobkowanie ze szkołą. Nielatwe życie, nielatwa nauka, ale po godzinach szkolnych Homer (tak się chłopiec nazywa) aż do późnej nocy otrzymuje bezpośrednio lekcję stosunków ludzkich, płynącą z treści telegramów. Tu kupia się rejestr najważniejszych wydarzeń miasta, tu przychodzi wieści od brata, stąd żołnierze na urlopie depeszują do swych matek i narzeczonych. Od czasu do czasu przychodzi depesza z Departamentu Wojny, zawiadamiająca, iż syn poległ w akcji na Pacyfiku. Za każdym razem mały telegrafista drży, iż po zwykłej formule aparat wystuka imię jego brata. I wreszcie ta chwila przychodzi. Jak to powiedzieć siostrze?

W nocnej włóczędce po ulicach miasta przypomina sobie, jak przysięgał kiedyś, że gdyby brat jego zginął w owej nieszczęsnej wojnie, przekłębą wówczas całe społeczeństwo, cały świat, za bezsens nieszczęścia.

Ta scena mogłaby się z powodzeniem znaleźć w pacyfistycznym filmie z lat 1918—1938. Ale nie scena następująca: oto Homer zawraca do domu, niosąc złowróżbną kopertę, i na progu spotyka kuszącego żołnierza, który go poznaje i woła po imieniu. Nieznajomy wie, że Homer przychodzi z urzędu, że ma wiadomość o śmierci brata, wie również, ile schodków prowadzi na ganek, gdzie leży schowany klucz od drzwi, jaki jest rozkład pokoiów, jakie przezwisko siostry, spieszczona imię matki, adres narzeczonej brata. Słowem jest to jakby duch poległego, wprowadzony w inne ciało.

Sytuacja się wyjaśnia. Nieznajomy jest kolegą brata. Był jego najbliższym przyjacielem na froncie, poznał wszystkich z opowiadań o domu i rodzinie, słuchanych tak chciwie, jak tylko umie słuchać człowiek, który nie miał dzieciństwa i wychowywał się w publicznym zakładzie opiekuńczym. Dom towarzysza-żołnierza zaczynał żyć w jego wyobraźni, wypełniał pustkę serca, stał się osobistym marzeniem i szczęściem. Obiecywali sobie, że do tego domu razem z frontu powrócą. Przyszli tylko jeden, właśnie ten obcy i bezdomny.

Ostateczny moral jest oczywisty. Przyszły wejście w skład rodziny, z którą go łączy istotne pokrewieństwo: jest tak samo jak on członkiem wielkiej rodziny narodu amerykańskiego, synem wszystkich rodziców, którzy swe dzieci oddali obronie kraju.

Patriotyzm, duch solidarności społecznej, serdeczny stosunek do armii — biją z tego obrazu. Jest tam np. pewien epizod, dość trudny do wyobrażenia w polskich warunkach współżycia. Oto żołnierze na urlopie, jak zwykli samotni i bezdomni w obcym mieście, proszą dwie nieznajome dziewczęta, by im towarzyszyły wieczorem. Panny ani nie są zgorzzone, ani nie się obrażają, uważając, że jest to ich prosty obowiązek, umilić wolne chwile żołnierza-Amerykanina. Spędzają wieczór w kinie, zegnają się serdecznie: dziewczęta podsuwają żołnierzom myśl, by zadeszowali z urlopu do domu.

Czy ten epizod, czy inny, wszystkie akcentują jednolitość społeczeństwa i jego prawdziwą, praktyczną demokrację na codzień. Podobną tendencję i książki, i filmu można uważać, — jak kto woli, — bądź za wyraz ideału, do którego się dą-

ży, bądź za retuszowanie prawdziwego obrazu stosunków społecznych. W każdym razie szczęśliwa Itaca leżała chyba dość daleko od okręgów, obejmowanych strajkami przemysłowymi, lub pamiętających kilkoletni, tragiczny upadek gospodarstw farmerskich...

W czasie wojny przy wspólnym niebezpieczeństwie, wspólnych ograniczeniach spożycia, przy likwidacji bezrobocia i — rzecz paradoksalna — podwyższeniu poziomu życiowego najuboższych, przy niewątpliwym pokonaniu „strachu przed niedzą” *Human Comedy* Saroyana może znajdować wdzięcznych widzów i wydawać się najlepszym symbolem Ameryki, podczas gdy, odwrotnie, film znacznie bliższy przeciętnej rzeczywistości, kontrastujący klasę właścicieli luksusowych willi i kolejowych trampów — *Sullivan's Travels* może wydawać się anachronizmem.

Tytuł tego obrazu pochodzi od nazwiska pewnego reżysera i pomysłu, aby własnymi przeżyciami zapoznać się ze światem bezrobotnych, który miał być tłem jego wielkiego, społecznego filmu. Można by powiedzieć, że tak pomyślana akcja wprowadza za kulisy produkcji wszystkich obrazów o *capraish tendency*, które nie są przecież dziełem filantropów i na których ktoś musi zarabiać.

Mniejsza o akcję tego filmu, interesującego w założeniu i zepchniętego później do banalnego romansu. Istotne są następujące momenty: pierwsze — w wagonach towarowych, na brankardach, na dachach podróżuje nieustannie nieprzeliczona masa trampów-ludzi, zmieniających miejsce pobytu w poszukiwaniu choćby dorywczych pracy; drugie — człowiek, tracący zatrudnienie, pozostawiony jest samemu sobie i nie może liczyć na opiekę społeczną: trzecie — filantropijne porywy bohatera spotykają się z brutalną rzeczywistością: zostaje napađnięty i obrabowany podczas rozdawania pieniędzy bezrobotnym. W ten sposób autorzy filmu, przedstawiają bezrobocie jako klęskę społeczną, równocześnie zastrzegają się przed sympatyzowaniem z milionami tych ludzi, którzy bądź indywidualnie słabsi, bądź spotykający przeciwnie okoliczności, nie potrafili osiągnąć sukcesu w życiu amerykańskim, otwierającym przed każdym drogę powodzenia.

Bezrobotni są sami sobie winni, — brzmiałby moral. Dodajmy odrazu, że realizacja tego filmu, wyzyskana głównie dla kilku komediowych pomysłów, byłaby chyba niemożliwa w latach przedwojennych. Świat pracy uznalby go za prowokację, podczas gdy dziś film *à rebours* pokazuje, jak bardzo bezrobocie należy w Ameryce do przeszłości i — przyszłości.

Teraźniejszość jest inna. Pełna pracy, sprzyjająca stabilizacji społecznej i zastanawianiu się, czy program Republikanów z mniejszymi podatkami nie byłby lepszy od ciągłych wymagań Roosevelta. To wszystko może jednak wyrastać tylko na podłoże wielkiej produkcji wojennej. Gdy ona ustanie, Ameryka przejdzie próbę, wykazującą, w jakim stopniu jest ona dla swych chłopców, walczących za morzami, — szczęśliwą wyspą Itaką, tęskniącą do powrotu swych dzieci.

Film *Waterloo Bridge*, z czasów pierwszej wojny światowej, dał kiedyś sposobność do uwagi, że dzisiaj akcja tego romansu byłaby nieprawdopodobna: bohaterka nie mogłaby z nędzy zostać prostytutką, pracowałaby czy to w fabryce broni, czy jako konduktorka w autobusie, lub wstąpiłaby do ATS, lub — co najbardziej konsekwentne — jako tancerka występowałaby w widowiskach ENSY. To dalałoby jej sposobność spotkania ukochanego i wzięcia ślubu, poczem — zgodnie z regulaminem — odesłano by ją do Anglii, gdzie w tej chwili uczestniczyłaby w delegacji, żądającej miesięcznego urlopu dla żołnierzy, których żony już od trzech lat nie miały legalnej sposobności zostania matkami.

Taki wariant zakończenia przychodzi na myśl, gdy w piękny, patetycznym filmie *Cry Havoc* spotyka się jako jedną z ochotniczek-sanitariuszek na Bataanie, „nagą tancerkę”. Podanie za wodu przy rejestracji budzi ogólną konsternację. Koleżanki pytają: jak to mogła robić? Bohaterka wyjaśnia rzeczowo, iż czyniła to samo, co one robią codziennie, z tą jedynie różnicą, że robienie odbywało się przy muzyce.

— I przy mężczyznach! — dodaje jedna z najbardziej zgorzgniętych. — Wstrętni ci mężczyźni! — Wcale nie! — odpowiada tancerka. — Gdyby nie oni, byłabym bezrobotna!

Niewątpliwie zawód „nagiej tancerki” nie jest wskazaną pracą kobietą w zdrowym społeczeństwie. „Rozbieranie się przy muzyce” nie pozostawia wątpliwości, iż nie chodziło o czystą sztukę, ale o efekt stopniowego obnażania się. W szpitalu, przy cierpiących żołnierzach, ex-tancerka

będzie o wiele pożyteczniejsza. Ale i tu „porzucenie sztuki” bohatera zawdzięcza wojnie, nie tylko stwarzającej miejsce dla ludzi, lecz wprost w y m a g a j ą c e j ludzi.

Wojna ma poza sobą argument konieczności, którego najwidoczniej brakło czasem pokojowym. W *Cry Havoc* oglądamy wśród ochotniczek córki bogaczy, córki średniozamożnego mieszczaństwa, ekspedientki sklepowe i t. d. — aż do wspomnianej już „tancerki”. Rozdzielone dystansem społecznym przed wojną, dziś spotykają się w jednej pracy, we wspólnym schronie, jednakowo zagrożone śmiercią. Film nie przesadza i nie fałszuje ich bohaterstwa: są chwile, gdy dziewczęta ulegają kryzysom nerwowym, paroksyzmem strachu, gdy przeklinają wojnę i prawie że odmawiają posłuszeństwa. Tym nie mniej ta kobieca wersja *Kresu wędrówki* kończy się w ten sposób, że w chwili ewakuacji wszystkie dobrowolnie pozostają na straconym posterunku.

Czemu? „Gdyż ta wojna jest prosta — mówi jedna z nich, córka nauczyciela. — Walczymy o nasze życie. Gdy Japończycy zdobędą Bataan, będą zdobywać Filipiny, gdy zdobędą Filipiny, zechcą zdobyć Kalifornię. Nie byłoby Stanów Zjednoczonych. Nie byłoby nas. Dlatego wojna jest prosta”.

Owa osiemnastolatka, tracąca na Bataanie siostrę, daje pogląd na cele wojny, znacznie ściślej od Karty Atlantyckiej. Zarazem tłumaczy krótko podstawę zmian społecznych w Ameryce: idzie o życie. To ultimatum: być albo nie być, jest ciągle silniejsze od przeciwstawienia: życie złe lub życie szczęśliwe. Dopiero wtedy, gdy nęda i niesprawiedliwość społeczna staną się dla ludzi złem, równym śmierci i niewoli, możemy spodziewać się zmian na lepsze i szczęśliwego powrotu żołnierzy na wyspę Itakę.

Ala likwidacja bezrobocia nie rozwiązuje jeszcze sprawy. Ostatecznie obóz koncentracyjny z pracą przymusową również zapobiega bezrobociu. Szczęście człowieka wynika dopiero z pracy, która nie jest niewolą, lecz daje mu wolność przez wyzwalanie jego instynktów twórczych. Umieszczane w konstytucyjach hasła „prawo do pracy” powinny być zastąpione „prawem do twórczości”, gdybyśmy byli zdolni do uporania się z pierwszym wymaganiem.

Lekka, zręczna komedia *Slightly dangerous* opiera się na motywach, który mógłby uczynić z niej interesujący film społeczny. Źródłem konfliktu jest przeraźliwe znużenie t. zw. *soda-girl* monotonnym, mechanicznym zajęciem. Osiem godzin dziennie spędza ona za kontuarem w wielkim domu towarowym, nalewając wodę sodową, przyrządzając lody, *milk-shake* i owocowe coccalle. Po pięciu latach pracy otrzymuje od firmy nagrodę za wzorową punktualność — 10 dolarów, wraz z obietnicą, że po dziesięciu latach otrzyma 25 dolarów. To przepiękna miara; doprowadzona do kryzysu nerwowego, udowadnia, że potrafi pracować z zamkniętymi oczyma, co z kolei wywołuje skandal w przedsiębiorstwie i zwolnienie z pracy. Ciąg dalszy — poszukiwanie przygód, szantażowanie milionera, słowem: wersja banalna i kapitalistyczna.

Źródłem jednak konfliktu, który zapewne musi przeżywać wielu ludzi, jest mechaniczna czynność. Socjaliści dodają, że świadomość wyzysku przez przedsiębiorcę jest kroplą, przepełniającą czarę goryczy. Prawdopodobnie mała jest pociecha z tego, że nie jest się automatem na rzecz jednostki, lecz na rzecz anonimowego państwa. Istota rzeczy leży w odsunięciu człowieka od funkcji twórczych; ta sama dziewczyna nie doznałaby kryzysu, gdyby była matką i wyżywała się w chowaniu dziecka, lub gdyby posiadała zainteresowania, wypełniające jej czas poza zarobkowaniem.

Postęp techniki będzie coraz bardziej redukował ilość czynności mechanicznych, spełnianych przez człowieka, pozostanie jednak zawsze pewna suma zajęć tego typu. Idzie jednak o to, aby czas pracy mechanicznej został zrównoważony zajęciami twórczymi, co z kolei wymaga ograniczenia czasu godzin pracy zarobkowej. Kobieta może pracować i poświęcać się wychowaniu dziecka tylko wówczas, gdy nie pracuje zbyt długo; windziarz tylko wówczas będzie mógł uczyć się gry na skrzypcach i występować na amatorskich koncertach, gdy nie będzie spędzał całego dnia w jeżdżącej klatce. Wzrastające znaczenie posiadania środków produkcji będzie stopniowo doprowadzać do przejęcia ich przez społeczeństwo i problem bezrobocia zamieni się kiedyś w problem dostarczania człowiekowi twórczych zajęć. To jest dopiero pełny i daleki — mimo już otwierających się możliwości realizacji — ideał szczęśliwej wyspy Itaki.

J. Martyka

Z prasy obcej

Bez ideologii

W artykule p. t. „Wielkie mocarstwa i Europa”, zamieszczonym w październikowym zeszycie nowojorskiego *Harper's Magazine*, znany socjolog amerykański, Peter F. Drucker, pisze o konsekwencjach oddziaływania czynnika ideologicznego w polityce „Wielkiej Trójki”. Polityka ta opiera się, zdaniem autora, na czterech głównych zasadach: 1) organizacja Europy oddzielnie, a nie w ramach porządku międzynarodowego w skali światowej; 2) oparcie pokoju na militarnej i ekonomicznej sile trzech wielkich mocarstw, do których należą być wszystkie decyzje główne; 3) porzucenie podstawy ideologicznej przy odbudowie Europy i 4) ogólne utrzymanie granic wersalskich, — a granic z r. 1941, jeśli idzie o Rosję, — jako podstawy układu terytorialnego w Europie.

„Tak jak militarna i ekonomiczna siła wielkich mocarstw, — pisze Drucker, — ma być ostateczną gwarancją pokoju w Europie, tak samo utrzymanie pokoju ma być celem ich wszystkich poczynań i jedyną racją bytu aliansu.

Dlatego do przyjęcia będzie wszelki rząd europejski, bez względu na to, jakie byłoby jego oblicze polityczne, jeśli zaistnieje prawdopodobieństwo, że zdoła on zabezpieczyć pokój. Ujawniło się to wyraźnie w przemysłowej pochwie, jakiej

Churchill udzielił reżimowi gen. Franco w Hiszpanii. Okazuje się to także w przyjęciu jugosłowiańskiego marszu. Tita przez Anglię i Amerykę. Rosja wykazała to samo zlekceważenie linii ideologicznej, popierając marsz. Badoglio we Włoszech. Jak daleko posunąć się może ta polityka, dostrzec można z wiadomości o żądaniu Stalina, aby marsz. Mannerheim objął stanowisko prezydenta Finlandii celem podpisania rozejmu. Mannerheim nie tylko poprowadził swój kraj do wojny po stronie Niemiec; przez wiele lat prowadził on nadto pół-faszystowski ruch, skierowany przeciwko Rosji. Jednakże rząd sowiecki jest widocznie skłonny zapomnieć i przebaczyć, gdy jest przekonany, że tylko Mannerheim ma dostateczne oparcie w armii fińskiej, by sprostować swym przyrzeczeniem politycznym i wojskowym.

Oczywiście, to porzucenie kryteriów ideologicznych nie oznacza, że wielkie mocarstwa będą zawsze zgodne co do tego, który rząd w danym kraju uznać należy za najbardziej stały i pokojowy. Nie znaczy to również, by wielkie mocarstwa miały swych ideologicznych upodobań, ani by wykluczały cele ideologiczne ze swej własnej polityki. Tak np. jest rzeczą zupełnie możliwą, że Moskwa popierała marsz. Badoglio tylko dlatego, że był on bez oparcia we Włoszech i dlatego istnieć mogło prawdopodobieństwo, że stanie się on

pionkiem w rękach włoskiej partii komunistycznej.

Na ogół jednak trzy wielkie mocarstwa wydają się raczej być skłonne do podporządkowania celów ideologicznych i uznania wszelkiego rządu — z wyjątkiem może Niemiec, — jeśli tylko wykaże on skłonność i zdolność poddania swej polityki zagranicznej i wojskowej interesom pokojowym wielkich mocarstw. To zaś, jakkolwiek by temu zaprzeczano w Waszyngtonie i Londynie, oznacza również, że wielkie mocarstwa będą w praktyce miały skłonność przekładania rządów autorytarywnych, składających się z wojskowych i biurokracji, nad zmienne szczęście parlamentarnych większości.

Autor wskazuje w dalszym ciągu na niebezpieczeństwo, jakie to stanowisko niesie wielkim mocarstwom na terenie Europy:

„Z historycznego punktu widzenia, ujawniający się plan wielkich mocarstw przypomina raczej Święte Przymierze, które zakończyło wojny napoleońskie, niż Ligę Narodów; we wszystkich kwestiach dotyczących polityki siły, zbudowany jest na zasadach polityki Metternicha, która utrzymywała pokój na kontynencie, na 33 lata. Lecz w miejsce ideologii politycznej, — takiej jak legitymizm Świętego Przymierza, — czyni on utrzymanie porządku najwyższym, jeśli nie jedynym kryterium.

Jest to Święte Przymierze, które nie chce być „święte”.

Bezpośrednim rezultatem tego planu było olbrzymie zwiększenie znaczenia politycznego wielkich mocarstw w Europie. Od Teheranu miały one możliwość podejmowanie konkretnych decyzji w konkretnych sprawach i narzucania tych decyzji zarówno aliantom, jak i neutralnym oraz pokonanym. Jednocześnie jednak autorytet moralny wielkich mocarstw w Europie zaczął błyskawicznie spadać w wyniku porzucenia ideologii w planie pokojowym. Słyszeliśmy tutaj dużo w ciągu ostatnich dwóch lat o upadku wpływu i prestiżu amerykańskiego we Francji i Włoszech. Ale w dużej mierze nie dostrzegliśmy, że — jak wskazują wiadomości z wielu krajów europejskich — również i pozycja moralna Wielkiej Brytanii oraz Rosji podobnie zachwiała się w Europie”.

Rosja i Środkowy Wschód

Londyński *Economist* w numerze z dn. 21 października pisze, że głównym motywem polityki sowieckiej w ciągu tej wojny było szukanie bezpieczeństwa.

„Zasady ideologiczne, które podyktowały Rosji dramatyczne wycofanie się ze Środkowego (Dokończenie na str. 12-ej)

Z prasy obcej

(Dokończenie ze str. 11-ej)

Wschodu w latach dwudziestych, nie decydują już o jej polityce. Wykazywało to na nowo rosyjskie żądanie koncesji naftowych w północnej Persji. Żądaniu temu rząd perski odmówił, przynajmniej na czas wojny. Ale reakcja rosyjska na tę odmowę, która przybrała formę odwołania się do perskiej opinii publicznej przeciwko perskiemu rządowi, nie pozostawia wątpliwości co do stanowczości, z jaką rząd rosyjski rozwijać będzie swą nową akcję w Persji. Krok taki, który nie byłby do pomyślenia w fazie rewolucyjnej, czyniłby z Rosji zagranicznego koncesjonariusza naftowego w jednym rzędzie z innymi imperialistycznymi mocarstwami kapitalistycznymi. Jest to uderzająca ilustracja tego, do jakich rozmiarów polityka porewolucyjna rozszerza się z dziedziny rosyjskiej polityki wewnętrznej na dziedzinę międzynarodową. Nie jest to tylko zmiana ideologiczna. Jest ona odstępstwem od wcześniejszej polityki autarkii. Rosja gotowa jest odstąpić od samowystarczalności przynajmniej na tyle, by żądać udziału w światowych rezerwach naftowych. Wyjście ze stanu autarkii może nie być natychmiastowe lub bardzo szybkie, lecz kierunek został ustalony i mało jest wątpliwości, że na najbliższych 20 lat wpływy rosyjskie na Środkowym Wschodzie będą miały podstawę ekonomiczną.

Hamulce rewolucyjne odrzucone zostały również w innych dziedzinach. Odbudowa kościoła prawosławnego umożliwiła rosyjskim dyplomatom na Lewancie przyjęcie znowu roli opiekunów różnych klasztorów prawosławnych. Podobnie w Persji wkroczenie wojsk sowieckich na północy przywróciło „swobodę religijną i kulturalną” mniejszości ormiańskiej. Nastąpiło również w Rosji odrodzenie religijnej wspólnoty muzułmańskiej.

Jednocześnie Rosja korzysta ciągle ze swych tradycji rewolucyjnych w dziedzinie politycznej. Inaczej niż Anglicy i Francuzi, rząd sowiecki nie ma obciążeń politycznych na Środkowym Wschodzie. W przeciwieństwie do Amerykanów nie ma na hipotece imperializmu naftowego, — jak dotąd. Słowem, jego hipoteka polityczna jest „czysta”.

Niewątpliwie wszystkie te instrumenty wpływów: gospodarcze, religijne, polityczne, będą wykorzystane przez Rosję, by zapewnić sobie przyjaźń południowych sąsiadów i by nie dopuścić do użycia ich przez trzecie mocarstwo jako podstawy napaści. Gdyby jednak ta pierwsza linia obrony miała upaść, jasnym jest, że arsenał rosyjski posiada jeszcze inny oręż. Gdyby powstało rzeczywiste niebezpieczeństwo, wówczas Rosjanie niewątpliwie starali się o zabezpieczenie swego terytorium, interweniując czynnie w politykę Środkowego Wschodu. Najwygodniejszym instrumentem dla takiej interwencji są kresowe sowieckie republiki w Azji: Armenia, Azerbejdżan, Tadżykistan, Kirgizja i Kazachstan. Podobnie jak Ukraina i Białoruś, każda z nich ma dzisiaj oddzielny komisarjat spraw zagranicznych i komisarze w razie konieczności mogą wywołać szereg trudnych problemów granicznych, pozostawionych w spadku po czasach carskich. Od rewolucji październikowej nie było właściwie incydentów, ale ostatni konflikt latem b. r. między Sinkiangiem a republiką kirgizską i kazachską jest przypomnieniem, że granice nie zostały załatwione ostatecznie. Na zachód stamtąd, Tadżycy są blisko spokrewnieni z ludnością Afganistanu. Czy nie mogą zażądać „zjednoczenia”? Azerbejdżan perski może pewnego dnia stać się siedzibą irredent, żądającej unii z Azerbejdżanem irackim. Wreszcie sowiecka Armenia mogłaby się domagać rewizji traktatu w Kars, podpisanego przez Rosję i Turcję w r. 1921, na mocy którego miasta ormiańskie Erzerum i Trebizonda pozostały przy Turcji. Obecnie mało jest Ormian we wschodnich wylajętych tureckich, ale akcja sowiecka mogłaby tu łatwo przybrać formę ochrony przeciwko pan-turanizmowi, ruchowi rdzennie tureckiemu, dążącemu do zjednoczenia państw muzułmańskich z zachodniej Azji, a który mógłby pewnego dnia spróbować odłączenia sowieckich prowincji muzułmańskich od Rosji.

Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że po wojnie Rosjanie nie mają na Środkowym Wschodzie innych zamiarów niż wykonywać swe pokojowe wpływy, nieuniknione wobec ich potęgi i bliskiego sąsiedztwa. Ich głównym problemem strategicznym zostanie zapewne Europa; jeśli w Europie pokój i bezpieczeństwo będą zapewnione, będzie to zapewne również czynnikiem rozstrzygającym na Środkowym Wschodzie. Polityka rosyjska na Środkowym Wschodzie za czasów carów była zawsze w pewnym sensie pochodnią. Rosjanie naciskali na główne mocarstwo na Wschodzie, — Anglię, aby wpływać na politykę brytyjską na teatrze głównym, — europejskim. Polityk rosyjski, Skobelew, powiedział bez ogródek: „Im Rosja silniejsza w Azji centralnej, tym Anglia słabsza w Indiach i skłonniejsza do zgody w Europie”. Dzisiaj ta sama polityka działać może w odwrotnym kierunku. Anglia i do pewnego stopnia Ameryka są głównymi mocarstwami na Środkowym Wschodzie. Im lepsze ich stosunki z Rosją w Europie, tym mniej Rosja ma powodów obawy o swe bezpieczeństwo na Środkowym Wschodzie. W tej sprawie, jak w wielu innych, tajemnica stosunków pokojowych leży w Waszyngtonie, Londynie i Moskwie. Jeśli będą zgodne, zwłaszcza co do podstawowej strefy europejskiej, nie ma przyczyn, które by na okres pokolenia mogły naruszyć stabilizację i postęp na Środkowym Wschodzie”.

sw.

Książki nadesłane do Redakcji :

Roman Fajans. Italic 1944. Couverture dessinée par Henryk Węglawowicz. Kair, Editions R. Schindler, 1944. Str. 96 i 8 nrb. i zdjęć 12.

Jacques Lassaigne. Chroniques d'Alger (Juin 1942—Avril 1944). Problèmes Français. Quatrième Série, No. 2. Bejrut, 1944. Str. 120.

Wincenty Pol. Poezje. Pieśni Janusza, Pieśń o ziemi naszej, Mohort. Opracował Łukasz Kurdybacha. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 55. Jerozolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 296.

Wl. St. Reymont. Sprawiedliwość. Z wstępem Adama Grzymały-Siedleckiego. Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod red. dra L. Kurdybachy, t. 58. Jerozolima, M.W.R. i O.P., 1944. Str. 152.

Pierre Robin. La poésie française au service de la Résistance. Problèmes Français. Quatrième Série, No. 1. Bejrut, 1944. Str. 48.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Wypadki greckie wstrząsnęły angielską opinią publiczną. Po kłopotach włoskich i niepokojach belgijskich szczególnie jaskrawo uwidoczniły one trudności i niebezpieczeństwa powojennego urządzenia Europy. Uprzytomniły, iż można wygrać wojnę, a przegrać pokój.

Myliliby się ten, kto by przypisał tragedii greckiej szukał wyłącznie we względach natury ideologicznej. Premier Churchill, który nie tak dawno temu podwyższył generalowi Franco stopień ze sprawowania z ledwo dostatecznego na dobry, starał się równocześnie — i to, jak się zdawało, skutecznie — o nawiązanie dobrych stosunków z komunistycznym marsz. Tito. Jeśli więc okazał brak zaufania dla partyzantów spod znaku E.A.M., to widocznie nie tyle z samych względów zasadniczych, ile dlatego, że uważał, iż może to być partner nielojalny.

Grecja jest dziś krajem granicznym strefy brytyjskiej i rosyjskiej. Dawniej nazywało się to inaczej, ale antagonizm mocarstw na terenie Grecji to rzecz stara i jeden ze stałych rysów historii dyplomatycznej ostatnich stu kilkudziesięciu lat. Pewne, umyślnie niejasne, klauzule traktatu w Kuczuk Kainardzi Rosjanie interpretowali w ten sposób, iż uważali, że upoważniają ich one do objęcia protektoratu nad chrześcijanami, obywatelami tureckimi, greckimi obrządku. Energetycznie protestowali przeciwko takiej interpretacji lord Clarendon. W r. 1826 Canning uważał — żeby zacytować tu słowa angielskiej historyka kwestii wschodniej, J. A. Marriotta, że „nie wolno pozwolić carowi rosyjskiemu, aby wyszukał walkę Greków, która go mało obchodzi, dla osiągnięcia celów, które obchodzą go dużo bardziej” (*The Eastern Question*, Oxford 1940, str. 218).

Okupacja niemiecka, brutalnie niszcząc ten układ sił społecznych, jaki istniał przed wojną, we wszystkich krajach Kontynentu stworzyła atmosferę, podatną dla szerzenia się prądów rewolucyjnych. Ale komuniści greccy obrządku znaleźli grunt specjalnie przygotowany: wyniszczenie gospodarcze kraju, z natury biednego i w wielkiej mierze zależnego od handlu morskiego, w czasie wojny sparaliżowanego, kompletne zdevaluowanie drachmy, potworny głód, reżim straszliwego terroru — wszystko to musiało sprzyjać wielkiemu wzrostowi napięć społecznych w Grecji. Reperkusje ich dały się odczuć w buntach armii greckiej na Bliskim Wschodzie. I od pierwszych chwil wyzwolenia sytuacja w Grecji była bardzo napięta. Korespondent *New York Times*, A. G. Sedwick, donosił jeszcze z początkiem października, że np. w Elamacie „miały miejsce walki uliczne między ELAS i grupami jej przeciwnymi, które pociągnęły za sobą tysiące ofiar (dosłownie: „resulting in thousands of casualties”)”. Tenże sam korespondent, który znał Grecję jeszcze z lat przedwojennych, robi jedną wyjątkowo interesującą uwagę: oto metody, używane przez EAM dla „organizowania” opinii publicznej, żywcem przypominały mu metody, jakimi posługiwał się reżim dyktatora Metaxasa: „możnaby przypuszczać, że reżim Metaxasa jest jeszcze u władzy, tak dobrze znany był cały ten aparat”.

Anglicy stanęli w Grecji wobec zadania bardzo przykrego i trudnego. Trudnego nie tylko fizycznie (partyzanci greccy są dobrze uzbrojeni, są u siebie, mają zaprawę w wieloletnich walkach z Niemcami, walki toczą się na terytorium górskim, nadającym się dla walk partyzanckich), ale i politycznie. Wycofanie się z Aten byłoby dla Anglików wielką klęską polityczną, klęską nie tylko wobec Greków. Ale jako wielkie niebezpieczeństwo potraktowaliby tam i to ewentualność, gdyby przyszło walkę prowadzić aż do ostateczności. Dlatego dziś już wyraźnie widać, że polityka brytyjska będzie się starała znaleźć wyjście pośrednie: narzucić przywódcom ELAS przekonanie o swojej zdecydowanej przewadze i o beznadziejności kontynuowania dalszej walki, a potem znaleźć taki kompromis, któryby mógł rozładować nastroje w kraju. Tylko w tym sensie można interpretować decyzję wysłania do Aten marsz. Alexandra i min. MacMillana.

W Grecji panuje głód. Wojskowe władze brytyjskie starały się jak najszybciej — zaraz po przybyciu na ziemię grecką — zorganizować transporty żywności dla ludności. Ale okazało się, że sam chleb nie wystarcza. I tutaj stajemy wobec sedna zagadnienia.

Premier Churchill w swym oświadczeniu w Izbie Gmin jasno określił tę procedurę, wedle której — jego zdaniem — powinno się dokonać w Grecji przejście spod okupacji do nowego ładu państwowego: gabinet jak najszybszej koalicji stronników, który powinien w jak najszybszym czasie rozpiąć wybory do parlamentu i w ten sposób przekazać rząd w kraju tym partiom, które będą miały poparcie większości społeczeństwa.

Zdawałoby się, trudno o zasady rozsądniejsze i sprawiedliwsze i któreby dawały więcej gwarancji, iż przejście ze stanu wojny do nowego układu politycznego — a po takim wstrząsie wojennym musi on być nowym — dokona się w sposób możliwy bez wstrząsów. A jednak trudno nam się zdobyć na entuzjazm wobec oświadczenia prem. Churchilla. Teżom, w nim wyrażonym, brak bowiem tego majestatu, bez którego nie mogą one nigdy mieć prawdziwego autorytetu moralnego: brak im majestatu, zasady powszechnie obowiązującej, a nie stosowanej tylko w poszczególnych wypadkach, ad casum. Każdy ma prawo zapytać się, dlaczego zasady te, tak rozsądne, odpowiadające poczuciu sprawiedliwości i mające tyle wenytyli, zabezpieczających przejście do nowego układu sił politycznych bez niepotrzebnych wstrząsów i przelewu krwi, ma mieć zastosowanie wobec Grecji, a nie może znaleźć zastosowania wobec Polski. Dlaczego to, co jest objawem rozumu politycznego i wierności zasadom demokracji pod czterdziestym stopniem szerokości geograficznej, już dziesięć stopni wyżej ocenia się inaczej.

Nieszczęście polega jednak na tym, że u schyłku tej wojny mocarstwa wyprzedzały się z zasad ideowych. Mocarstwa anglosaskie nie mają dziś jednolitego i na daleką metę zakrojonego programu polityki europejskiej. Istniejące dolegliwości lata się dorywczo. W tej sytuacji dyskusja na tematy europejskie mogła się skurczyć do rozważań na temat tego, czy hr. Sforza jest czy nie jest gentlemannem.

Po tamtej wojnie taka zasada była. Była to mianowicie zasada narodowościowa. Jej Magna Charta to czternaście punktów Wilsona: głosiła

ona urządzenia Europy na tej podstawie, iż każdy naród ma prawo do stworzenia na swoim terytorium własnego organizmu państwowego. Mniejsza o to teraz, czy taka zasada była rozsądna, czy załatwiała ona problemy polityczne Europy (dziś wiemy, że nie), ważnym jest dla nas w tej chwili co innego: że była to zasada o zastosowaniu uniwersalnym, odczuwana powszechnie jako sprawiedliwa i wskutek tego mobilizująca wielkie siły moralne w świecie.

Dziś takich zasad w obozie Sprzymierzonych nie ma. A tymczasem, jak każda wojna, tak i ta, przyniosła na kontynencie europejskim wielki wzrost fali żądań gruntownych reform społecznych. Wyjść im naprzeciw, wziąć wiatr tych reform pod swoje żagle — znaczyłoby to zapewnić sobie sympatie wielkich mas europejskich. Zwycięskie prowadzenie wojny dało państwom anglosaskim na kontynencie europejskim wielki autorytet moralny. Dziś autorytet ten się marnuje.

A tymczasem taka jednolita i długofalowa polityka europejska jest teraz potrzebniejsza niż kiedykolwiek. Warunki dla unifikacji Europy są dziś bardziej sprzyjające niż kiedykolwiek przedtem. Przez cały kontynent przeszła fala — tu słabszego, tam silniejszego, ale wszędzie podobnego — terroru. Na całym kontynencie europejskim Niemcy łamali kości przedwojennego układu społecznego w podobny sposób. Niemcy zjednoczyli Europę w nędzy i ucisku. Można ją zjednoczyć w wolności i dobrobycie. Europa jest dziś zrujnowana wojną tak gruntownie, że jej skuteczne odbudowanie jest możliwe tylko przy istnieniu planu rekonstrukcji gospodarczej w skali kontynentalnej: racjonalna i w szybkim tempie przeprowadzana odbudowa gospodarcza przekracza możliwości poszczególnych państw.

W tej zaś sytuacji, jaka dziś zaistniała, radykalne prądy europejskie zaczynają — *jaute de mieux* — opierać swoje nadzieje na Rosji. Ten autorytet, jaki Rosja zachowała w rewolucyjnych partiach kontynentu europejskiego, może się dziś wydawać rzeczą dziwną. W czasie tej wojny Rosja przeszła bowiem przez ogromne przemiany wewnętrzne. Mówić, że wraca ona obecnie do stonków z czasów carskich, znaczyłoby to używać skrótów, bardzo nieściśle oddających charakter tych przemian. Pląg rewolucji przeorał Rosję głęboko, zmiany społeczne, jakie w niej zaszły, są ogromne i nieodwracalne. Ani pagony, ani georgijewskie kłębki, ani kult Suworowa nie oznaczają jeszcze, że Rosjanie nawracają do starego układu sił społecznych: nie ma do niego powrotu. Ale oznaczają one, że na fundamencie nowego układu sił społecznych ZSRR postanowił kontynuować dawną politykę Imperium Carów. W kontynuowaniu tej polityki Rosjanie nie krepną się względami doktrynalnymi. We Włoszech oni pierwsi uznali rząd marszałka Badoglio. Na czele Finlandii, w której znajdują się dziś garnizony rosyjskie i która do spółki z Rosjanami stara się wypędzić z kraju Niemców, stoi marszałek Mannerheim, ten sam Mannerheim, który był celem najostrejszych i najbrutalniejszych ataków propagandy rosyjskiej i który dla rosyjskiej opinii publicznej stał się niemal że uosobieniem „feudalno-militarystycznego ucisku”. Zdawałoby się, że wszystko to powinno radykalne masy kontynentu europejskiego odwrócić od ZSRR. A jednak u znacznych odłamów mas robotniczych niemal wszystkich krajów kontynentu europejskiego ZSRR nie stracił ze swego kredytu moralnego, autorytetu i wpływów.

Na kontynencie europejskim brak jest bowiem rozpaczliwych hasel, brak mogących porwać wyobraźnię ludzką i wykrzesać entuzjazm w masach planów odbudowy gospodarczej Europy. Zamiast tego mamy chaos i upadek prestiżu Aliantów. Tak mści się zarzucenie polityki zasad. Nieprawdą jest bowiem, że istnieje przeciwstawność polityki zasad i polityki realistycznej. T. zw. polityka realistyczna to bardzo często po prostu tylko polityka na krótką metę, polityka ludzi bez wyobraźni, którzy nie umieją poświęcić doraźnych korzyści dla dalszej przyszłości, bo jej zarysów nie są w stanie dostrzec.

Najbardziej zdawałoby się do wysunięcia takich hasel odbudowy politycznej i gospodarczej Europy powołana jest Wielka Brytania. Powołana nie tylko dlatego, że wiążemy historycznymi i położeniem geograficznym najsilniej jest z kontynentem europejskim związana. Powołana jest także i dlatego, że tylko w oparciu o kontynent europejski może utrzymać się w roli równorzędnego partnera mocarstwowego z ZSRR i Stanami Zjednoczonymi. Dominia nie zawsze mogą tu dać odpowiednie oparcie. Międzynarodowa konferencja lotnicza ujawniła różnice zdań między Zjednoczonymi Królestwami a Australią i Nową Zelandią. Konferencja monetarna w Bretton Woods dowiodła sprzeczności interesów między Wielką Brytanią a Indiami i Kanadą. Ta ostatnia zresztą mocno ciąży ku Stanom Zjednoczonym.

Świadomość tego, jak bardzo związek z kontynentem europejskim jest dla Wielkiej Brytanii sprawą żywotną, jest silna w różnych środowiskach brytyjskich: jest ona wyraźna u młodokonserwatystów, na których czele stoi min. Eden. Bardzo mocnym tętnem bije ona u liberalów, których organy *Economist* czy *Manchester Guardian* energicznie domagają się innej polityki europejskiej, ale których wpływy polityczne są dziś niewielkie. Najbardziej przygotowany grunt dla polityki zasad w stosunkach międzynarodowych znajdujemy w *Labour Party*, w której jednak często krzyżuje się ona — teste prof. Laski — z osobliwym brakiem wszelkiego krytycyzmu wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi ZSRR.

Zawarty w Moskwie przez gen. de Gaulle'a sojusz francusko-sowiecki nie powinien stanowić dla nikogo niespodzianki. De Gaulle dążył do niego od dawna, uważając, że taki sojusz da mu wobec Anglików i Amerykanów, tę swobodę manewrowania, która mu dla jego polityki mocarstwowej jest potrzebna. Sojusz z Rosją ma zresztą stare tradycje w polityce francuskiej. Nie należy też sojuszuwemu temu przypisywać charakteru związku ideologicznego. Henri de Kerillis, publicysta prawicowy, ale też i jeden z tych niezliczonych prawników, którzy od samego początku byli w zdecydowanej opozycji do polityki kolaboracji, energicznie sojusz takiemu sojuszowi domagał, co więcej, w braku takiego sojuszu dopatrywał się jednej z głównych przyczyn klęski Francji w 1940 r.

W tej chwili sojusz ten przeżywa swój miodowy miesiąc, o tym jednak, jak się on ułoży na

przyszłość, zadecydują dwa czynniki. Zależać on będzie od tego, jak się ułożą stosunki między de Gaulle'em a komunistami, a — w jeszcze większej mierze — od tego, jak będzie rozwiązana sprawa niemiecka; to będzie dopiero sprawdzian żywotności tego sojuszu.

Dotychczas Alianci nie ogłosili swojego programu załatwienia sprawy niemieckiej. Najlepszy dowód, że mimo licznych konferencji, na których sprawa ta musiała być omawiana, nie doszli tutaj do porozumienia. Wiadomo tylko, że prasa sowiecka domaga się w tej chwili jak najtwardszych warunków pokoju dla Niemiec i że w opinii angielskiej jest dużo wątpliwości co do celowości takich warunków. Francuzi oficjalnie swojego programu warunków dla Niemiec nie formułowali, z tych jednak wypowiedzi, jakie dotychczas znamy, można było wnioskować, że mają zastrzeżenia przeciwko „twardemu” pokojowi, a w każdym bądź razie, że chcieliby tutaj na przyszłość mieć pewną swobodę w sprecyzowaniu swojej polityki wobec Niemiec. Tak więc dowiedzieliśmy się z wypowiedzi oficjalnych, że Francuzi nie mają zamiaru przeprowadzania retyfikacji granicznych. Później co prawda przyszły glosy, domagające się — jako odszkodowania — oddania pod zarząz francuski w takiej czy innej formie Zagłębia Saary. Zdecydowanie przeciwko „twardym” warunkom pokoju występowali francuscy socjaliści.

Teraz pojawiły się nowe wypowiedzi francuskie na ten temat, wywołane już wizytą gen. de Gaulle'a w Moskwie. Tak więc komunistyczna *L'Humanité* pisze, że „zrewidowanie na nowo swoich poglądów na temat granic niemieckich, wschodnich i zachodnich, to sprawa przede wszystkim ZSRR i Francji”. Jeśli enigmatyczne to zdanie ma coś znaczyć, może znaczyć ono tylko jedno: że teraz Francja powinna zrewidować swoje stanowisko i wysunąć wobec Niemiec żądania terytorialne.

Dużo konkretniejszy, a bardzo interesujący program rozwiązania kwestii niemieckiej ogłosił w *Figaro* Władimir d'Ormesson. Oto trzy zasady, którymi — jego zdaniem — należałoby się tu kierować:

„1. Prusy powinny być uważane za głównego winowajcę, odpowiedzialnego za to zło, które dręczyło Europę i świat. Trzeba, aby nie tylko zostały one poddane pod jak najściślejszą kuratelę, ale też aby zostały sprowadzone do swoich najskromniejszych granic.

2. Berlin powinien przestać być centrum świata niemieckiego.

3. Wokół Wiednia powinien być stworzony system federacyjny”.

Projekt ten operuje pewną fikcją: przeciwstawieniem złego Prusaka i „dobrego” Niemca, nie-Prusaka. Prawdopodobnie fikcja ta została tu wprowadzona celowo jako próba znalezienia kompromisu między francuską a sowiecką koncepcją rozwiązania zagadnienia niemieckiego: twarde warunki pokojowe dla Prus, a dla pozostałych prowincji Rzeszy takie, któreby nie uniemożliwiały w przyszłości poprawnych stosunków między nimi a Francją. Taki sam sens ma projekt przeniesienia głównego centrum niemieckiego z Berlina gdzie indziej. Rzecz prosta bowiem, że centrum to mogłoby być przeniesione nie na wschód od Berlina, a na zachód, a więc musiałoby grawitować bardziej ku Francji. Trzeci punkt programu proponuje swego rodzaju restytucję Austro-Węgier. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Rosjanie przeciwko takiej restytucji gwałtownie protestowaliby. Rzecz ciekawa, projekt d'Ormessona nie liczy się też z przyznaniem reszty Śląska Polsce, skoro autor jego pisze dalej, że ze względu na konieczność ścisłej kontroli nad przemysłem Rzeszy trzeba będzie wypracować statut specjalny dla Zagłębia Ruhry i — dla Śląska.

13.XII.44

ww.

Nakładem Wydawnictwa „W D R O D Z E”

ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO

SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

NOWOŚĆ!

MARIA PETRY

STRUNY

POEZJE

Cena: 250 milsów

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezael Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.